



nikt się nas
nie pyta 3



kiedy pękła
struna 4



niebożęta 8-9

jego
wysokość
chłop 12

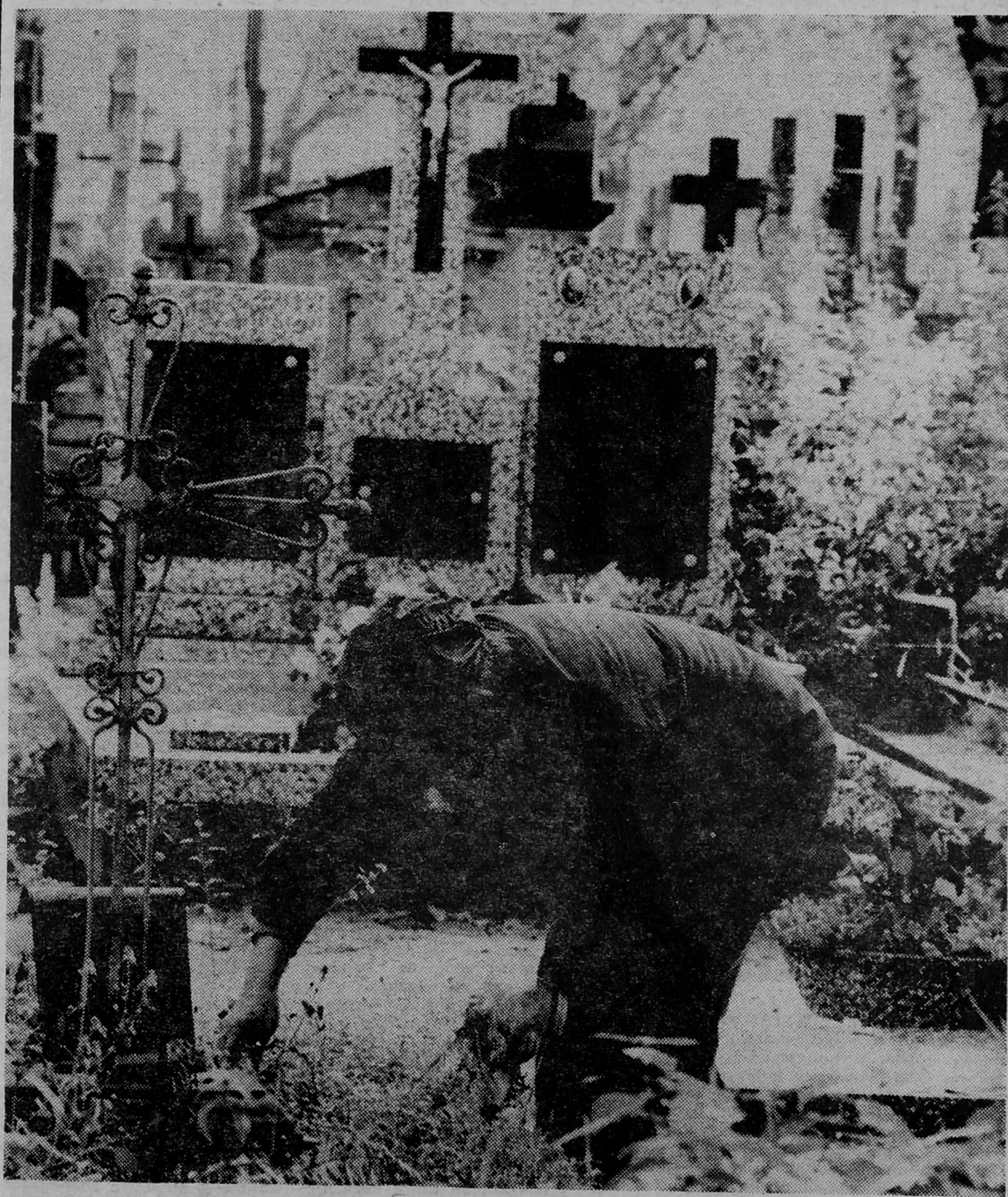


nie ta
agrafka 12

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR

19
KONTAKTY
2 XI 80
Cena 4 zł



niedoznani

TERESA POLECKA

Cicho, niepostrzeżenie, do mego pokoju weszła Przeszłość. Siadła obok, ukryła twarz w półmroku za jasnym kręgiem lampy stojącej na biurku. I mówi. Opadły mnie jej słowa ze wszystkich stron. Słowa szeleszczące, ciepłe, spokojne, pełne treści odległych, a tak bliskich. Zdarzenia wielkie i małe stanęły przede mną... „a jeszcze inni w mroku zginą, staną za szkłem co jak ze stali i niedoznani miną, miną...”

— Wiesz — powiedziała — nie zdajemy sobie sprawy, jak bardzo losy ludzkie splatają się z sobą, jak mówiąc o jednym, mówimy o wielu, a wspominając wielu — myślimy o jednym.

myśl o śnie najdłuższym

ANDRZEJ C. LESZCZYŃSKI

Jesień rodzi uczucia pastelowe: melancholię, smutek, refleksyjność nie przecutą w maju. Wspomnienie wojny wrzesniowej płacze się dymem palących perzowisk, bliskie są Zaduszki. „Lepsza w kwietniu jedna chwila niż w jesieni całe grudnie” — pisał Mickiewicz. Lecz bywa przecież inaczej; zdarza się dostrzec wartość chwili jesiennej wtedy właśnie, gdy brak już czasu na luksus niedostrzegania wszystkiego, co zawiera w sobie życie. Gdy brak czasu na lenistwo życia — ale także na dynamizm (dziś chory już chyba): przesadną ambicję, zawiść czy żądzę bycia ponad innymi. Pisząc o swojej jesieni Władysław Tatkiewicz wspomina w pewnym miejscu, że stracił ochotę do ponownego życia; że nie przemawiają doń tęsknoty Goethego, który „chciałby życie swoje przeżyć powtórnie”, czy Franklina mówiącego, iż nie miałby nic przeciw powtórzeniu swego życia od początku. Jesień Tatkiewicza jest pełna spokoju: zrobił, co mógł, a także... wyszedł z obiegu: „przestałem być dla innych ludzi rywalem i przez to ludzie są dla mnie lepsi, żyję w łatwiejszej i przez to lepszej atmosferze”.

Jakie to szczęście być spokojnym, patrzeć na swoje życie, nie wstydzić się siebie w czasie przeszłym; nie chcieć już niczego zmieniać, poprawiać itp.

Jesienią umiera świat. Dla religijnego człowieka z kultur archaicznych nie była to śmierć ostateczna: świat odnawia się co roku; rok to zamknięte koło i wszystko się w nim — kończąc — zaczyna. Dzisiejsza kultura pozbawia nas tych złudzeń wskazując, że czas biegnie jednokierunkowo i jest nieodwracalny. Człowiek — przynajmniej w swym ziemskim wymiarze — musi w pewnym momencie po prostu przestać być. Ale też, powiada Tatkiewicz, nie jest to powód do rozpacz, bo radością nie jest sam proces życia, ile raczej postrzeganie nowych rzeczy. „Tragedią nie tylko jest musieć przestać być, ale też byłoby nią musieć dalej być! Zrozumiałe stało mi się pragnienie ludzi Wschodu: móc przestać być”.

Kultura nasza, zafascynowana codziennością, wywiera jednak wpływ

CIĄG DALSZY NA STR. 6-7

CIĄG DALSZY NA STR. 11

WKRÓTCE NASZ KONKURS „PAMIĘTNIK NASTOLATKA”



PODCZAS POSIEDZENIA inauguracyjnego kolejnego roku szkolenia partyjnego wywiązała się dyskusja, z której prezentujemy niektóre myśli. **TADEUSZ JANUSZEK**, wykładowca z Grajewa: — Szkolenia powinniśmy poświęcać omawianiu aktualnych wydarzeń. W ten sposób wywołamy autentyczną dyskusję. Jednak prowadzić ją możemy tylko wówczas, jeśli będziemy dysponowali aktualną i wyczerpującą informacją. Niestety, obecnie odczuwamy jej brak; **ZYGMUNT WIERYSZKO**, wykładowca z Wysokiego Mazowieckiego: — Brakuje nam literatury pomocniczej — zbyt niskie są nakłady. Podstawowa pomoc „Notatnik lektora i wykładowcy” winien zawierać więcej informacji, a nie tylko te, które można wyczytać w gazecie. W organizacji szkoleń, ustaleniu tematyki aktywniejsze powinny być POP; **LESZEK ZALEWSKI**, wykładowca z Łomży: — Zbyt małe jest zainteresowanie szkoleniem załóg pracowniczych. Dzieje się tak, ponieważ tematyka zajęć odbiega często od problemów na co dzień nurtujących ludzi; **JADWIGA JANKOWSKA**: — Szkolenia muszą być czymś więcej niż tylko źródłem

informacji dla tych, którzy nie czytają gazet. W ustalaniu tematów zajęć powinni uczestniczyć słuchacze, aby w ten sposób uwzględnić zainteresowania środowiska. Nie możemy dopuścić do schematycznego odbywania szkoleń. W ten sposób zabija się odmienność myślenia słuchaczy i chęć wyrażania ich w dyskusji; **WALDEMAR WÓLKOWSKI**, lektor KW PZPR: — W szkoleniu wiele miejsca poświęcamy edukacji ekonomicznej. Wykładowcy nie zawsze są w tej dziedzinie kompetentni. Proponuję, aby omówienie tych tematów powierzać specjalistom. Lektorzy we własnym gronie powinni więcej dyskutować nad doskonaleniem metod pracy ideowo-wychowawczej. Do pracy lektorskiej w szerszym zakresie należy włączyć robotników i rolników; **WALDEMAR SZPALIŃSKI**, I sekretarz KW PZPR: — Sami musimy wypracować właściwe metody szkoleń. Nie możemy czekać, aż ktoś przysłać gotowe rozwiązania. Musimy wykazać dużą samodzielność, a nie kurczowo trzymać się instrukcji wyższych instancji.

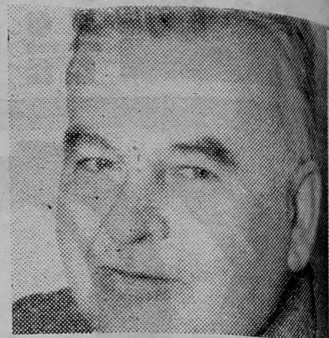
EGZEKUTYWA KW PZPR w Łomży oceniła przebieg letniego wypoczynku dzieci i młodzieży, zwracając uwagę na zdarzające się niedociągnięcia. Nie wszystkie ośrodki wypoczynkowe były właściwie przygotowane, innymi źle gospodarowano. Zabrakło miejsc pracy dla uczestników akcji „Wakacje za własne pieniądze”. Egzekutywa zapoznała się także z planem szkolenia partyjnego na rok 1980/81 i zleciła Wojewódzkiemu Ośrodkowi Kształcenia Ideologicznego dostosowanie tematyki do aktualnych potrzeb.

tyki do aktualnych potrzeb.

UCZESTNICY SPOTKANIA inauguracyjnego nowego roku szkolenia politycznego ZSL stwierdzili m.in.: — Koncentrować się będziemy na problemach wsi i rolnictwa. Chodzi o tworzenie teoretycznej podbudowy wspomagającej działanie samorządów wiejskich. Ludowcy uważają, że na łomżyńskiej wsi nie są w pełni realizowane ostatnie wytyczne Biura Politycznego KC PZPR i Prezydium NK ZSL.

NA POSIEDZENIU Wojewódzkiego Zespołu Poselskiego przedstawiona została informacja na temat aktualnej sytuacji w rolnictwie łomżyńskim. Wśród przyczyn, które wpłynęły na niższy poziom produkcji rolnej szczególne znaczenie mają niekorzystne warunki klimatyczne. Spowodowały one znaczny spadek zbiorów psaz. Zmniejszyły się także dostawy środków produkcji: nawozów mineralnych, pasz przemysłowych, węgla, materiałów budowlanych. Nie zaspokojone są też potrzeby w zakresie melioracji. Posłowie przyjęli plan pracy WZP do 30 września 1981 roku.

KRONIKA KADROWA: Ze stanowiska naczelnika Śniadowa odwołany został Andrzej Banaszek, na jego miejsce zatwierdzono Irenę Milewską (lat 33), dotychczasowego kierownika gminnej służby rolnej. Na dyrektora Wojewódzkiej Dyrekcji Rozbudowy Miast i Osiedli powołano Halinę Kotowską (lat 43), dotychczas pełniącą obowiązki zastępcy dyrektora w LPB. Janusz Macek odwołany został ze stanowiska dyrektora Fabryki Przyrządów i Uchwytów Zakład nr 3 w Kolnie.

dwa tygodnie
ekonomiki

Notuję pewne, moim zdaniem niebezpieczne, zjawisko. Otóż przyzwyczailiśmy się już tak bardzo do braków rynkowych, że nie bardzo doceniamy groźbę obecnej sytuacji gospodarczej. Proszę mnie nie posądzać o chęć wywołania paniki czy pomnożenia kolejnych nastrojów. Prostu jeżeli tyle się mówi o realnej informacji, to uważam za niebezpieczne abyśmy sobie uświadomili, że w gospodarce — mówiąc bez ogródek — jest źle, bardzo źle.

Do końca roku brakuje tylko 8 tygodni i można więc już prognozować jego wyniki. W wielu ważnych gałęziach zamierzenia planowe nie zostaną wykonane. Mniej wydobędzie się węgla (aż o 7 mln ton), mniej wyprodukuje energii elektrycznej, wyrobów hutniczych, przeróżnych artykułów rynkowych. W rolnictwie będzie jeszcze gorzej niż w roku minionym. W kartoflarni kraju w wielu rejonach brakuje już ziemniaków...

I dlatego za szczególną cechę polskiego krajobrazu społeczno-politycznego jesienią 1980 roku uważam fakt, iż proces gruntownej odnowy dokonuje się w warunkach ostrego kryzysu gospodarczego. Jeżeli dla przywrócenia sensu prawdziwej demokracji socjalistycznej, równie ważny i pilny jest powrót do pryncypiów socjalistycznego gospodarowania, opartego na świadomych działaniach wolnych twórców i spiętego klamrą realnego planu. Skonstatujmy: w niedalekiej przeszłości i z wolnością wytwórców nie było najlepiej, a i plan także nie stało.

Do spraw szczegółowych np. rolnictwa, transportu czy handlu zagranicznego, pozwólcie sobie wrócić w kolejnych komentarzach. Dziś sprawa — moim zdaniem — podstawowej: o planie.

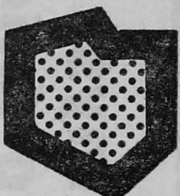
Chodzi mi o warunki niezbędne do tego, aby plan mógł być wykonany. Może to i dziwne, że trzeba dziś mówić o tak podstawowej sprawie, ale po latach „planu otwartego”, kiedy wskaźniki konstruowano nierzadko z sufitu, po latach żonkierki planistów i dyrektorów „krzywa rosla” — o planie coś powiedzieć trzeba.

Po pierwsze, sądzę, że trzeba powrócić do dobrych tradycji bilansowania surowców i materiałów skalających gospodarkę narodową. Powiedziawszy sobie najpierw na moim liczyć z krajowymi zasobami i importu postawmy dopiero pytanie: co z nich produkować aby przywrócić gospodarce jak na szybkość równowagę a społeczeństwu dostarczyć najpotrzebniejszych warunków. Spełnienie tego warunku oznacza odejście od wynoszonego piedestału zasady: gdzie diabeł może, zaopatrzniowca posłój. Główną postępową metodą „uszczerbku” będzie nazywana po imieniu: postępowość gospodarcza.

Po drugie (i chyba najważniejsza) decyzje produkcyjne, podejmowane przez przedsiębiorstwo, wydają się być powinny być decyzjami, w których podejmowaniu świadomie i w sposób uczciwy bezpośredni wpływ ma klasa robotnicza. Co innego „odgłosowany” na KSR, co innego zamierzenia produkcyjne dyskutowane i przyjęte przez załogę. Bo dopiero taką demokratyczną praktykę uważam za najlepszą formę — może to kogoś szokować — przyjęcie przez załogę zobowiązania produkcyjnego.

I tak powinien rodzić się plan, już oznaki, że właśnie w ten sposób postępowość będzie zrealizowana na rok 1981 zanim stanie się ona ustawą sejmową. To do

Jerzy Bielecki



SĄD WOJEWÓDZKI w Warszawie dokonał rejestracji Niezależnego Samorządnego Związku Zawodowego „Solidarność” z siedzibą w Gdańsku, obejmującego terytorialnym zakresem działalności obszar PRL. Sąd dokonał korekty statutu, dopisując deklarację ideową zawartą w punkcie drugim porozumienia gdańskiego i skreślając dwa paragrafy szczegółowo regulujące sprawę strajku (utrzymując samo prawo do podjęcia decyzji o strajku). W uzasadnieniu stwierdzono, że sąd nie może ograniczać się wyłącznie do badania formalnych przesłanek rejestracji, ale musi wkładać w treść statutu jako podstawy określającej charakter powstającego związku. Krajowa Komisja Porozumiewawcza NSZZ „Solidarność” oświadczyła, iż decyzję tę zaskarży do Sądu Najwyższego.

MINISTER KOMUNIKACJI zapelował w dzienniku TV do odbywających protestacyjną głodówkę przedstawicieli kolejarzy zrzeszonych w NSZZ „Solidarność” o jej zakończenie oraz o spokojne i poważne rozmowy, od których zależy uzgodnienie wspólnego stanowiska. NSZZ Pracowników Kolejowych zgłosiły 45 postulatów żądając między innymi dodatku wyrównawczego w wysokości 2.300 złotych dla pracowników zarabiających poniżej 3.000 złotych. Resort komunikacji uznał ten postulat za niezgodny z porozumieniem gdańskim.

W POLSCE POŁUDNIOWEJ przebywała delegacja działaczy NSZZ „Solidarność” z Wybrzeża na czele z Lechem Wałęsą. Wzięła ona udział w spotkaniach ze związkowcami Krakowa, Katowic, Częstochowy, Nowego Targu, Nowego Sącza i Tarnowa.

W KOMITECIE CENTRALNYM PZPR odbyła się narada pierwszych sekretarzy komitetów wojewódzkich, którą prowadził Stanisław Kania. Głównym tematem dyskusji było zaopatrzenie ludności.

NA SPOTKANIU I sekretarza KC PZPR z prymasem Polski wyrażono zgodny pogląd, że konstruktywne współdziałanie Kościoła z państwem dobrze służy interesom narodu i dlatego będzie kontynuowane.

ZGROMADZENIE OGÓLNE Polskiej Akademii Nauk zwróciło się

w podjętej uchwale z apelem do najwyższych władz PRL, by wykazały, że mają zaufanie do społeczeństwa, ustaliły zakres i formy osobistej odpowiedzialności każdego człowieka sprawującego jakąkolwiek władzę i każdego szeregowego pracownika oraz przyspieszyły podjęte prace nad zreformowaniem funkcjonowania gospodarki i państwa.

NA POSIEDZENIU Rady Legislacyjnej rozpatrzono wstępny projekt ustawy o kontroli prasy, publikacji i widowisk, uznając za potrzebne kontynuowanie prac nad jego doskonaleniem.

W ZAKŁADACH „URSUS” w Warszawie doszło do trzygodzinnego strajku, którego przyczyną były rozbieżności w sprawie zasad i wysokości podwyżek płac. Po rozmowach, w których brał udział Lech Wałęsa uzgodniono, że strajk zostanie przerwany, a wnioski płacowe w dotychczasowej formie wycofane.

APARAT FINANSOWY przystąpił do kontrolowania źródeł pochodzenia środków pieniężnych wydatkowanych na prywatne inwestycje budowlane.

REDAKCJA „LITERATURY” opublikowała apel, wzywający do przekazania na cele społeczne wszystkich wili, domów stałych i sezonowych wybudowanych lub nabytych nielegalnie, których podstawy finansowe lub materiałowe pochodzą z nadużycia władzy bądź korupcji.

RADA MINISTRÓW podjęła decyzję o wstrzymaniu budowy obiektów wykonywanych na potrzeby państwowych jednostek organizacyjnych. Powołano także specjalną komisję, która do 30 listopada br. przedstawi wnioski co do dalszej kontynuacji bądź przetrwania na inne cele budynków administracyjnych znajdujących się w trakcie realizacji.

W ZWIĄZKU Z OSTRYM deficytem leków zaplanowano na IV kwartał import gotowych leków z krajów kapitalistycznych o wartości 40 mln złotych dewizowych i import surowców i komponentów dla naszego przemysłu farmaceutycznego za 46 mln złotych dewizowych. Tymczasem zamiast 86 mln złotych dewizowych Bank Handlowy mógł dać do dyspozycji zaledwie 10.

OCENIA SIĘ, że w chwili obecnej elektrowniom brakuje m.in. ponad 650 tys. ton węgla kamiennego oraz wielu ton oleju opałowego. Z braku oleju nie będzie zapewne można uruchamiać, nawet w godzinach szczytowego obciążenia, bloków energetycznych np. w elektrow-

ni „Pątnów II” o mocy 400 megawatów.

W LATACH SIEDEMDZIESIĄTYCH — stwierdza w „Polityce” doc. dr Rafał Krawczyk — sekretarz generalny PTE — mieliśmy prymat decyzji niekompetentnych nad kompetentnymi. I naiwnością byłoby przypuszczać, że z tym problemem uporamy się od ręki. Istnieją jeszcze struktury, w których tkwią ludzie niekompetentni (a w wielu wypadkach skompromitowani już dotychczasową działalnością), którzy będą bionili swoich pozycji, choć wiedzą, że są niekompetentni, czują to, albo inni im to mówią. [...] Nie można postępować na zasadzie spóźnionego i wymuszonego akceptowania zaistniałych faktów. To jest kompromitacja, która zasiedziała jeszcze tu i ówdzie we władzach amatorzy są w stanie przelknąć (jak ucy doświadczenie) po raz wtóry, ale nie przelkną tego społeczeństwo.

W „LITERATURZE” w artykule „Bez niedomówień” (Kallimacha) czytamy m. in.: „Nie zgadzam się z tymi, moim zdaniem, nieprzeżyłymi głosami, jakie pojawiają się tu i ówdzie w środkach masowego przekazu, bagatelizując i uznając za naturalne, czy wręcz nieuniknione trudności występujące jeszcze przy powstawaniu i zakładaniu nowych związków, zwłaszcza w terenie. Tego typu opinie uważam za proste za nieodpowiedzialne. [...] Z punktu widzenia fundamentalnych zadań i obowiązków, z punktu widzenia ratowania kraju przed gospodarczą katastrofą — a taka jest dziś sytuacja — cały ten proces trwa zbyt długo, a jego cena zbyt wysoka”.

ROZWAŻAJĄC POTRZEBĘ wprowadzenia kartek Zbigniew Czerwiński w „Życiu Gospodarczym” pisze: „Kartki — lub inne formy przydziału deficytowych towarów są rozwiązaniem, które doraźnie uwalniałoby konsumentów od uciążliwych codziennych kłopotów związanych z ich zdobywaniem. System kartkowy stwarza jednak również wiele kłopotliwych problemów. Równie przydatny dla wszystkich czy różnicowany, a jeżeli różnicowany, to według jakich zasad? Czy obok sprzedaży deficytowego towaru po cenach »zanizowanych« utrzymać jednocześnie ich sprzedaż pozakartkową, po cenach »komercyjnych« lub wolnorynkowych — w każdym razie po jakichś cenach wyższych? Jak zorganizować sprzedaż towarów niejednorodnych lub łatwo psujących się (takich jak np. mięso)? Jak zapobiec ewentualnej spekulacji »kartkami«, »talonami« lub innymi uzupełniającymi pieniądź uprawnieniami do zakupu deficytowych towarów?”

Łomża ma cały natłok niezwykle palących spraw do regulowania, tak samo, a czasem nawet bardziej, drażniących jak ta z artykułu Niny Omelezenko „Umrzeć na zęb” lub wcześniejsza informacja, że woda zaoparująca miasto zawiera znaczne ilości soli żelaza, które przede wszystkim mają zabójcze działanie na szkliwo zębów. Martwi mnie jako nauczyciela, że sytuacja wskazana reportażem kończy się (siłą faktów) jakby pesymistyczną prognozą w ostatecznym podtekście. Wolałbym, żeby za sygnalizacją niebezpieczeństwa, szedł artykuł rysujący najbliższe perspektywy usunięcia anomalii, a wszelkie postulaty i pretensje kierowane były czytelnie, do konkretnych dyrektorów, naczelników, kierowników instytucji i urzędów. W przeciwnym wypadku powstanie popłoch i maltretowanie się niewesołymi myślami 40 tysięcy mieszkańców miasta.

Jest wiele tematów, jak np. sprawa bezpieczeństwa połączenia kolejowego Łomży z Białymstokiem (podobno w Śniadowie potrzeba zaleganie 200 m łącznika torowego), które wymagają obszernego, wnikliwego opisu i konsekwentnego, wielokrotnego powracania do nich — tego sobie i Redakcji życzę.

EUSTACHY JAN
Łomża

*

Czy możecie opublikować pytanie do władz miasta i Rejonu Energetycznego w Łomży: jak długo można cierpieć ze względu na spadek napięcia w sieci do 170, 180 V. Napięcie takie ma bardzo niekorzystny wpływ na odbiorniki telewizyjne, lodówki itp. a żarówki dają tyle światła ile może dać zwykła świeca. Sytuacja taka trwa od kilku lat przy ulicy Sikorskiego. Idąc od ulicy Świerczewskiego do Nowogrodzkiej, ma się wrażenie jakby się było w „piekielku”: ciemno jak u diabła w gabinecie, a błotnisto jak w bagnie. Jak długo będziemy tolerować nierówność i niedbałość na tej ulicy? Przecież tam istnieje wielki bałagan, wykopy, ciemnice, strachy.

(nazwisko i adres
do wiadomości redakcji)

*

Jestem stałą czytelniczką Waszego czasopisma. Czytam wszystko, od A do Z. W rubryce „Kontakty Kontaktów” zamieszczacie dodatnie i ujemne notatki czytelników, więc postanowiłam stanąć w obronie pracujących rolników. Jak nam wszystkim wiadomo, jesienią rolnicy mają szczególnie dużo pracy w polu. Gdy są wykopy ziemniaków, pracują na polu do późnego wieczora. Wracając do domu zmęczeni, często przemęczeni i wtedy robi się konieczna oszczędność energii elektrycznej. Hasło oszczędności prądu popieram, ale nie o tej porze, kiedy jest największy szczyt pracy na polu. Przecież człowiek, który wrócił właśnie po całym dniu ciężkiej pracy w polu, chciałby jak najszybciej zkończyć swoją gospodarską krzątaninę, umyć się, najeść i wreszcie odpocząć. Czy nie można odciąć wpływu energii w innych godzinach, np. 14.00—15.00?

MARIA DREWNOWSKA
rolniczka z Kolomyjki

*

Plaszę w sprawie, której logicznej prawidłowości nie mogę zrozumieć. Podał mi o wzniesiony niedawno w Łomży Telewizyjny Ośrodek Nadawczy, przeznaczony do przekazu programu TVP. Otóż swego czasu bardzo ucieszyłam mnie, jako członka wojewódzkiej społeczności, a także miejsko-gminnej rady na wiadomość, że wreszcie i my będziemy mogli korzystać z II programu TVP. W pełni poparłam ideę zbierania złomu na cele budowlane. Złom najmlodszy mieszkańców naszego miasta (Wysokie Mazowieckie) aktywnie i z wielkim zaangażowaniem zabrali się do roboty. Kiedy

Józef Randzio wraz z synem prowadzą specjalistyczne gospodarstwo rolne we wsi Koty Rybno, w gminie Grajewo.

— Cóż to za specjalizacja — twierdzi gospodarz — jeśli w hodowli trzody chlewnej nie ma zysku. Fakt, była podwyżka cen skupu, ale niewiele dała. Koszty produkcji i tak są wyższe. Trochę zysku mamy z hodowli loszek.

Jestem działaczem ZSL — w tej chwili pełnię funkcję prezesa Miejsko-Gminnego Komitetu ZSL w Grajewie — mam więc możliwość poruszania spraw rolnych przy różnych okazjach. Chociażby kilka lat temu na wspólnym posiedzeniu KW PZPR i WK ZSL mówiłem o opłacalności hodowli trzody chlewnej. Był tam wtedy dzisiejszy premier Józef Pińkowski. Obiecał zająć się tą sprawą, ale skończyło się na obietnicy. Inna sprawa, drobna — ale tylko z pozoru. Kiedyś pieniądze ze sprzedaży mleka dostarczał listonosz, prosto do domu. Od kilku lat jest inaczej: co miesiąc każdy rolnik musi sam jechać do Banku Spółdzielczego aby pobrać pieniądze. Marnuje cały dzień i często nie załatwia, bo albo mleczarnia nie przygotowała bilansu, albo coś innego stanęło na przeszkodzie. Na

ny. A przecież to miało być dobrowolne.

— Ja również obserwuję, nieskuteczność interwencji w naszych wiejskich sprawach — mówi syn. Jestem radnym Gminnej Rady Narodowej; drugą kadencję. Owszem, dyskusje bywają burzliwe. Czasem wstanie rolnik, wyłoży całą prawdę, aż chce się posłuchać. Ale skutki takich wystąpień są niewielkie. Najwyżej naczelnik zblednie. Od kilku lat walujemy sprawę szkoły. Zbudowaliśmy piękny, nowy budynek. Jak przyszła reforma oświaty postanowiono nam szkołę odebrać. Ulokowano tam młodzież z OHP, może trzydziestu, najwyżej czterdziestu chłopców. Starsze dzieci dowożone są do szkoły zbiorczą w Grajewie, ale klasy od pierwszej do czwartej uczą się w wynajętych pomieszczeniach prywatnych. Tu więc kilkudziesięciu OHP-owców w szkole dla 160 dzieci, tam młodzież stłoczona w wiejskim domu, bez sali gimnastycznej, boiska. Ponadto za wynajęcie trzeba dodatkowo płacić. Próbowaliśmy urządzić w szkole chociaż klub, ale odmówiono nam. Pisaliliśmy w tej sprawie do kurato-



scy, że polska wieś jest wyludniona. Potrzebne są maszyny. W tym roku jak ktoś miał sprzęt, to zebrał, jeśli nie — to plony zmarnowały się na polu. Oglądałem w telewizji jak pokazywano składnicę: ciągniki, urządzenia, czego dusza zapagnie. Potem okazuje się, że maszyny z tej składnicy może rozdzielać tylko minister. Podano również, że w kraju jest siedem takich baz. Tylko do dyspozycji ministra. Ale po co ministrowi te ciągniki? Czyż nie można przekazać ich do gmin. Tak samo w województwie, zajdziesz do składnicy — „Te urządzenia tylko do dyspozycji wojewody”. Dlaczego nie przekazać ich gminie. Przecież w każdej gminie jest komisja, która powinna rozdzielić to wszystko sprawiedliwie.

Uważam, że zasadniczej zmianie powinien ulec stosunek władz do rolnictwa państwowego i spółdzielczego. Przecież rolnicy indywidualni płacą haracz na utrzymanie tych dwóch sektorów. Rolnik jeśli otrzymuje grunt z Państwowego Funduszu Ziemi musi za to zapłacić. Spółdzielnie albo PGR nie dość, że ziemię dostają za darmo to jeszcze o-

nikt się nas nie pyta

posiedzeniach Rady Nadzorczej w WZGS-ie mówię o tym przy każdej okazji, ale w odpowiedzi słyszę, że „decyzję już podjęto i nie można jej zmienić”. A przecież problem można rozwiązać od ręki, zwłaszcza, że poczęcie zależy na prowadzeniu tych przekazów. Zastanawiam się, czy to niechęć do mądrego działania czy obawa utraty autorytetu jeśli zmieni się własna decyzja.

Uszczuplane też są uprawnienia samorządów. Chociażby ustalanie cen za usługi rolnicze w SKR-ze. W zeszłym roku skoszenie trawy kosztowało 113 złotych za godzinę, w tym — przy pierwszym pokosie 168 złotych, a przy drugim już 186 złotych. Kiedyś zarząd koła rolniczego mógł podnieść albo obniżyć cenę za usługę o 20 procent. Dzisiaj dyrektor SKR-u decyduje o tym sam, uzgadniając to najwyżej z naczelnikiem. Nas nikt nie pyta. Tak jak zresztą nikt się nie pytał, czy chcemy przystąpić do SKR-u czy nie. Po prostu zabrano nam maszy-

rium, nie nie wskóraliśmy. Rozmawiałem też z sekretarzem komitetu w Grajewie. Naczelnik stwierdził, że decyzja jest podjęta i nie można jej zmienić.

— Chociaż jedną sprawę udało mi się pozytywnie załatwić. W latach 60-tych głośno propagowano budowę obór typowych. Na sesji Wojewódzkiej Rady Narodowej zaatakowałem ten nierozsądny projekt: płyty, z których budoje się ściany są za cienkie, dach kładziemy bezpośrednio na ściany, bez sufitu, przecieć to nie jest przystosowane do naszych warunków, nie będzie trzymało ciepła — argumentowałem. Rzeczywiście od pomysłu odstąpiono. Ale ile musiałem nasłuchać się od ówczesnych władz powiatowych za to, że krytykowałem centralną decyzję.

To są wszystko drobne sprawy. Ich załatwienie jest jednak konieczne. Oczywiście, aby poprawić sytuację w całym rolnictwie trzeba poważniejszych zmian. Wiemy wszy-

trzymują pieniądze na zagospodarowanie jej. Nas rolników ocenia się według ilości produkcji. Spółdzielnie chwali się za przygotowanie kiszonki czy parowanych ziemniaków. Albo nawozy. Cały rok jeździłem aby kupić nawozy azotowe i nie dostałem. W spółdzielni natomiast leży cała przyzma. Nie można popierać tylko poszczególnych sektorów rolnictwa, bo efektów z tego nie będzie.

Na ekranie telewizyjnym pojawia się Andrzej Zalewski ze swoim programem „Radzimy Rolnikom”.

— Czasem można dowiedzieć się coś z tej audycji, chociaż porady nie zawsze są fachowe.

— Pokazałby widły, zobaczyłbym je chociaż w telewizji — żartuje syn.

— Krowy nie dojrone — ucina synowa, Danuta. A to już zajęcie dla mężczyzn.

WIESŁAW KOŁOWSKI
Fot. GABOR LÖRINCZY



co u państwa słychać?



Przewodniczący Zakładowego Komitetu Robotniczego, robotnik z I wydziału, ADAM KUKOWSKI: — Zaczęliśmy od przypomnienia, dlaczego został w Zakładzie powołany Komitet Robotniczy. Wiadoma rzecz: zaczął się strajk w Gdańsku. Chyba nikt z tutaj siedzących nie powie, że u nas ludzie byli z zakładowej rzeczywistości zadowoleni. Śniadaniowe przerwy regulaminowe przedłużały się z dnia na dzień. Do tego wszystkiego dołączył się ten nasz kochany, nowy segment, do którego niezbyt dobrze przystosowano technologię. Dopiero przy pierwszych elementach stwierdziliśmy błąd; nastąpił spadek produkcji, a w związku z tym — zarobków. Niezadowolenie załogi rosło. Stał się wydział drugi, po nim montaż, wreszcie trzeci. Przychodzą do mnie ludzie (jestem sekretarzem Oddziałowej Organizacji Partyjnej) i mówią: robimy strajk. Powiedziałem: nie, bo nie ma podstawy ku temu; pierwszy wydział nie będzie strajkować. Pracował jeszcze trochę, ale wreszcie struna pękła. Jako sekretarz, jako wieloletni członek partii, nie mogłem na to spokojnie patrzeć. A co wówczas zrobił kierownik Zakładu? Co Rada Zakładowa czy Komitet Zakładowy? Nic. Dobry kierownik powinien w takim przypadku wyjść do załogi lub zwołać Rady Oddziałowej i przez propozycję spisania postulatów opanować wzburzenie załogi. Skoro nikt się tej roli nie podjął, zrobiłem to ja. Powołany wówczas Komitet Robotniczy wybrał prezydium (po osobie z każdego wydziału), które ukierunkowało postulaty i przedstawiło kierownikowi Zakładu. Wyznaczone na dzień 19 września spotkanie załogi z władzami miasta i województwa oraz dyrekcją Białostockich Fabryk Mebli miało przynieść odpowiedzi na robotnicze postulaty. Przedtem prowadziliśmy z dyrekcją negocjacje. Dyrektor uznał nas za faktyczne przedstawicielstwo załogi i starał się przekazywać nam wszystkie informacje dotyczące realizacji postulatów, ale sam nie do końca wszystko wiedział, bo nasze zjednoczenie długo nie decydowało się na żadne posunięcia. Sytuacja wyjaśniła się dopiero wraz z wejściem nowej tabeli płac.

Natomiast co do osoby kierownika naszego Zakładu chcę stwierdzić fakt, że załoga chciała się z nim rozstać już 19 września, ale Komitet Robotniczy oraz przedstawiciele władz wojewódzkich i miejskich wyperswadowały zebranym głosowanie, ponieważ postulat zakładał „rozpatrzenie przydatności kierownika”, a nie zwolnienie. Przetargowaliśmy odroczenie sprawy na posiedzenie Komitetu Robotniczego, na którym większością głosów zdecydowaliśmy o pozostaniu inż. Chojnowskiego. Na odejściu kierownika zawazyło „Polowanie z nagonką”. W czwartek i w piątek, przychodzili do mnie ludzie, śmieli się i pytali o decyzję. Mówili: musimy tę sprawę rozwiązać. Zwołałem Komitet Robotniczy do laboratorium. Zdania były podzielone, wracać nie wracać, argumenty nie argumenty... Argumentów do tego nie trzeba było, ponieważ argumentem był artykuł. Doszliśmy do wniosku, że zbierzemy załogę i na podstawie jej opinii podejmiemy decyzję. Na przerwie śniadaniowej pytałem zebranych: czy mamy zdjąć kierownika ze stanowiska? Usłyszałem: tak. Wobec tego zaproponowałem głosowanie przez podniesienie ręki. Wypadło prawie jednogłośnie, bo te kilka, a choćby i dziesięć osób — jest bez znaczenia. Gdybyśmy nie usłuchali znowu głosu załogi, nie uniknęlibyśmy kolejnych przerw w pracy.

JERZY PIORUNEK, spedytor, zastępca przewodniczącego Zakładowego Komitetu Robotniczego: — Według nas, kierownik okazał się wyjątkowym asekurantem. Nie zaufał 28-osobowemu (a nie 25-osobowemu, jak podał do prasy) zespołowi komitetowemu i się zawiódł. Gdyby miał przewidzieć naszą decyzję, na pewno inaczej wypowiedziałby się w artykule. Wysłuchaliśmy w dniu 3 października jego racji, rozpatrzyliśmy dostarczone dokumenty. Część zarzutów potwierdziliśmy, część była kontrowersyjna, co należało przyjąć na jego korzyść. W tym momencie decyzję o pozostawieniu szefa przydzieliliśmy na siebie, ponieważ jego sprawa nie była dla nas najważniejsza; mieliśmy dziesiątki problemów istotniejszych. Ale on od początku nie wierzył w naszą dobrą wolę i traktował Komitet Robotniczy jak grupę wrogów. Asekurował się tekstem w „Kontaktach”, a wła-

„POLOWANIE Z NAGONKĄ”

Dnia 11 października br. — na mocy decyzji załogi łomżyńskiego Zakładu Białostockich Fabryk Mebli — zdjęto ze stanowiska i skreślono z listy pracowników dotychczasowego kierownika, inż. Henryka Chojnowskiego. Drugi z bohaterów artykułu „Polowanie z nagonką”, Henryk Kapuściak, został wcześniej wybrany na przewodniczącego Rady Zakładowej. W dniu 18 października br. przedstawiciele redakcji spotkali się z członkami Zakładowego Komitetu Robotniczego i zarejestrowali argumenty przedstawicieli załogi.

ściwie obnażył w nim swoje prawdziwe oblicze moralne człowieka, który nie szanuje kodeksu pracy. Naprawdę wśród tych 28 było karanych tylko czterech; na inne kary pokrycia w aktach personalnych nikt już nie znajdzie, bo uległy wymazaniu jako przedawnione. Myśmymy z wszystkich zarzutów kierownika rozliczyli i rozgrzeszyli, i tego faktu podważać nie możemy. On sam załatwił swoje odejście.

JERZY KIERSZTAŃ, brygadzysta w warsztacie mechanicznym, członek Rady Zakładowej i Zakładowego Komitetu Robotniczego: — Ja uważam, że wówczas kierownika musieliśmy rozgrzeszyć, bo nie było przeciwko niemu dowodów, mimo że obiecaliśmy się zgromadzić.

ADAM KUKOWSKI: — Wygląszasz sąd jednostkowy.

RED.: — Wszyscy uczymy się demokracji. Nie będzie jej bez możliwości wyrażania własnych sądów, choćby wyrażały one pogląd mniejszości.

JERZY KIERSZTAŃ: — Ja rozumiem działalność Komitetu Robotniczego do 3 października. Nie wiem, jak to się stało, że działa do dziś.

ADAM KUKOWSKI: — Rzeczywiście w naszej uchwałę pisał, że z chwilą wybrania nowej Rady Zakładowej Komitet zostanie rozwiązany. Ale my dokumentów nie przekazaliśmy Radzie Zakładowej i oficjalnie się nie rozwiązaaliśmy.

JERZY PIORUNEK: — To zależy od załogi. Jeśli będą głosy, że mamy przestać istnieć, to choćby jutro się rozwiążemy. W dniu 10 paź-

dziernika zostaliśmy powołani do działalności przez załogę ponownie, w celu ustosunkowania się do artykułu i postępków kierownika.

JERZY KIERSZTAŃ: — Ja uważam, że po ukazaniu się artykułu trzeba było uspokajać załogę, a nie podniecać jej niezadowolenie. Myślę też, że gdybyście w dniu zdejmowania kierownika dopuścili do głosu mnie i innych, którzy podnosili ręce, wówczas nastroj sali by się zmienił. Wcześniej proponowałem: puscie listę po załodze, każdy, zanim coś wypisze, pomyśli, zastanowi się. W innych zakładach tak robili.

ADAM KUKOWSKI: — Załoga już wypowiedziała się, my podjęliśmy decyzję, bo ją musieliśmy podjąć, sprawa jest zamknięta i nie ma odwołania.

RED.: — Stało się tak, jak chciała załoga. Widocznie głosy za innym rozwiązaniem były za słabe. To już nieważne. Dojrzałość podjętych decyzji potwierdzi najlepiej czas pracy. Stąd pytanie: co dalej z produkcją, na którą tak czeka społeczeństwo?

JERZY PIORUNEK: — Spodziewamy się wykonać plan, zawalony od kilku miesięcy, i jest taka szansa. Narastająco go wykonujemy, natomiast trzeba nadrobić wrzesień. Mamy zamiar zastanowić się, wraz z nowym kierownictwem, nad obniżeniem kosztów produkcji. Ta dziedzina była, niestety, przez poprzedniego szefa zaniedbana. Chodzi nam o koszty materiałowe, a dokładnie: o koszty tkaniny pokryciowej. Zamierzamy wprowadzić pojedyncze fotele, robić serwetki dekoracyjne;

czy nam się przez to uda racjonalnie gospodarować tkaniną i zmniejszyć straty? Zobaczymy. Wiąże się nadzieje z zapowiadaną reformą gospodarstwa. Ale póki co — musimy dalej porządkować życie społeczne. Jeśli na wszystkich wysokich stopniach pozostaną ci sami ludzie, nie będzie żadnych rewelacji, nie będzie odnowy. Tu trzeba twardo podejść do sprawy. My uważamy, że naszą zasługą jest podnoszenie problemu kosztów. W pogoni za planem produkcji wszyscy o nich zapomnieli. Musimy przywrócić rangę zysku w przedsiębiorstwie. Wtedy będzie dobrze, jeśli będziemy się liczyć z każdą złotówką i nie wysyłali, na przykład, towaru wartości stu złotych samochodem na drugi koniec kraju.

RED.: — Wróćmy do relacji państwo-społeczeństwo—zakład—załoga. Postulat płacowy został zrealizowany. Inne są w toku realizacji. To dla załogi. A co od załogi? Co zaproponował Zakładowy Komitet Robotniczy, Komitet Zakładowy czy Rada Zakładowa, aby usprawnić pracę, zwiększyć i polepszyć produkcję oraz w pełni wykorzystać wszystkie zdolności i fachowe umiejętności załogi łomżyńskiego zakładu meblowego?

JERZY PIORUNEK: — Na razie musimy wykonać plan, ponieważ mamy tutaj produkcję wdrożeniową.

ADAM KUKOWSKI: — Ten oto segment eksportowy bardzo skomplikował nam pracę, szczególnie nakładki dekoracyjne, więc postanowiliśmy produkować go w dwóch wersjach: z nakładkami i bez nich.

RED.: — Nie rozumiemy się. Pytaliśmy, czy równoległe z listą postulatów do władz powstała druga, adresowana do was samych?

ADAM KUKOWSKI: — Nie, takiej listy praktycznie nie ma, ale przecież w przedłożonych przez nas ogólnych postulatach były też żądania usprawnienia pracy, lepszego wykorzystania czasu produkcyjnego i poprawienia jakości mebli.

EUGENIA ROZMYŚLÓWICZ, robotnica z tapicerni, członek egzekutywy Komitetu Miejskiego PZPR: — Bardzo mnie dziwi fakt, że ciągle jeszcze istnieje Komitet Robotniczy, mimo że nie ma programu działania i mimo że od ponad dwóch tygodni funkcjonuje nowa Rada Zakładowa, której nie pozwolono zająć się choćby sprawą „Polowania z nagonką”. Sytuacja w Zakładzie przypomina tę, jaka zaistniała przed chwilą, w obecności mistrza, wieloletniego pracownika tapicerni, ponadto sekretarza Komitetu Zakładowego partii, Jana Łady, pan Piorunek wypowiedział się jako znawca o sprawach jego wydziału.

JERZY PIORUNEK: — Przewodniczący Rady Zakładowej, Henryk Kapuściak, mówił nam: dajcie, ja to dokończę. Powiedziałem mu: człowieku, ty jesteś skompromitowany. Chcesz jeszcze teraz szumieć?

ADAM KUKOWSKI: — Gdy załoga wybierała Kapuściaka na przewodniczącego Rady Zakładowej, wiedziała o nim tyle, co i ja: że był sekretarzem, człowiekiem dobrym, zdyscyplinowanym. Jego prawdziwy obraz poznaliśmy z dokumentów na posiedzeniu w dniu 3 października a załoga — na podstawie „Kontaktów”, które ukazały się w tygodniu po wyborach. Dlaczego nikt w zakładzie prawdy o nim nie ogłosił wcześniej? Ukrywano jego niedawne przewinienia, a wyciągnięto listę dziwnych kary sorzed lat, i to na widok publiczny.

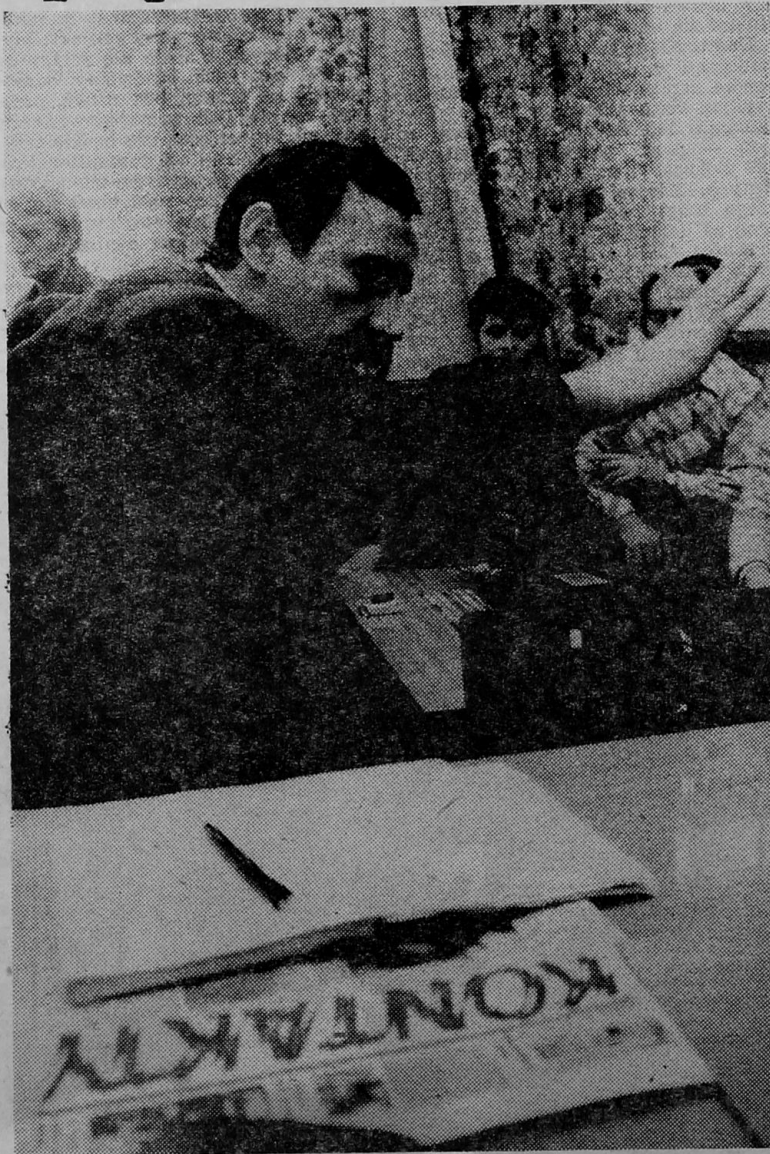
OD REDAKCJI. Spotkanie z Zakładowym Komitetem Robotniczym, podobnie jak wcześniejsze z załogą (ściślej: pierwszą zmianą), pozwoliło nam lepiej zrozumieć intencje większości pracowników łomżyńskiego Zakładu Białostockich Fabryk Mebli. Kontakty te utwierdziły nas w przekonaniu, że Komitet kierowany przez Adama Kukowskiego jest autentyczna reprezentacja załogi.

Nie było to dla nas łatwe spotkanie, lecz przez to — bardziej oczyszczające. Uznaliśmy sobie za zasadę, że nikt nie ma monopolu na nieomyślność, i każdy, im więcej widzi zgodność poglądów, tym gorliwiej powinien słuchać innych, odczuć odmienne niż jego zdania, wyśrodkowywać różne zdania, zbliżyć się do prawdy. Dotyczy to i robotnika, i dyrektora, i dziennikarza.

Dzięki spotkaniom poznaliśmy wielu ciekawych ludzi, związanych bezpośrednio z produkcją. Były stały się redakcji ich opinie i oczekucia, co z pewnością przyniesie korzyść i nam, i Czytelnikom.

STEFANIA HENCZELOWA

kiedy pękła struna



punkt widzenia



jesteśmy do udzielania porad

Jerzy Bujko, wiceprezes Sądu Wojewódzkiego w Łodzi, przewodniczący zespołu konsultacyjnego do spraw ruchu związkowego: Aktualnie obowiązujące przepisy (czyli Uchwała Rady Państwa, z 13 września 1980 r.) nie dają podstawy do tworzenia organu, który byłby uprawniony do orzekania czy statutowo zakładanego związku zawodowego jest zgodny z prawem. Kompetencje takie przynależą tylko Sądowi Wojewódzkiemu w Warszawie. Toteż inne są zadania naszego zespołu, działającego na zasadzie społecznej. W jego skład wchodzi specjalista różnych dziedzin (głównie prawnicy): dwaj sędziowie, adwokat, radca prawny i dwóch inżynierów. Celem zespołu jest udzielanie porad prawnym osobom zamierzającym założyć związek zawodowy. Będą one dotyczyć głównie takich kwestii jak informacje o obowiązujących ustawodawstwie i opiniowanie prawidłowości statutów. Nie chodzi więc o tworzenie dodatkowego sądu, niejaką pierwszą instancję. Zasięganie informacji u nas nie jest bowiem obowiązkowe. Ale powinno to pomóc ludziom, by nie jeździli do stolicy bez kompletnych dokumentów. Jeśli w Sądzie Wojewódzkim w Warszawie otrzymają odmowną decyzję — ponieważ nie dopełniono wszystkich formalności — może wywołać to rozczarowanie i nieuzasadnione opinie, że władze pragną ograniczyć powstawanie nowych związków zawodowych.

Zdarza się, że niektórzy niedoświadczeni rozumieją nasze zadania. Na przykład odwiedza nas delegacja z Białegostoku, sądząc, że jesteśmy komitetem „Solidarności”. Mieliby też inny problem. Chodziło o to, czy muszą zakładać nowy związek zawodowy, czy też przystąpić do istniejącego. Trudno nam było jednoznacznie doradzić. Chociażby dlatego, że nowe związki działają od niedawna, nie wiadomo więc, które rozwiązania będzie korzystniejsze. Mamy kłopoty nie tylko z wyborem odpowiednich rozwiązań, ale i z znalezieniem właściwych przepisów, które regulowałyby kwestie szczegółowe. Opieramy się przede wszystkim na ustawie z 1949 r. o związkach zawodowych, wykorzystujemy Uchwałę Rady Państwa z września 1980 r. oraz akty porozumień z Gdańska, Szczecina i Jastrzebia. Akty te mają jednak charakter ramowy i dają odpowiedź na problemy generalne. Nie posiadamy typowego statutu związku zawodowego, zresztą takie nie opracowano w ogóle. Wystąpiliśmy z prośbą do Sądu Wojewódzkiego w Warszawie o przystąpienie nam statutu już zarejestrowanego związku zawodowego. Oczywiście, nie byłoby to wzorcowe bezwzględnie obowiązujące wszystkich. W kontaktach z interesantami staraliśmy się zwrócić uwagę na rzecz podstawową, że władze nie zamierzają dzielić związków zawodowych na stare i nowe. Przystąpienie do nowego związku to sprawa wyboru. Decyzja w tej sprawie pozostaje w rękach zainteresowanego naszego zespołu. Dla nas istotne jest, aby wszyscy odchylić się zgodnie z prawem. Dlatego też nie jest naszym zadaniem namawianie ludzi aby od swoich decyzji odstępowali. Takie zamiary w żadnym wypadku nie

(wk)

do „Łomżyniaka”

W jednym z ostatnich numerów „Kontaktów” opublikowany został list „Łomżyniaka”, pełen gorzkich refleksji. List to nieco dziwny, nie wiem czy bardziej mnie zdenerwował, czy rozbawił. I to od pierwszych słów, w których „Łomżyniak” zarzuca redakcji, że drukuje tylko słowa „samouwieblenia” (lapsus, albowiem pochwały czytelników świadczyć by mogły, że to oni „Kontakty” uwielbiają, a nie one siebie). Korespondent nie jest chyba uważnym i obiektywnym czytelnikiem pisma. Przejrzałam rubryki „Kontakty Kontaktów” i stwierdziłam, że, nolens volens, proporcje między listami krytycznymi i pochwalnymi były idealne. Większość z nich jednak to propozycje, a ostatnio uwagi (często krytyczne) odnośnie poszczególnych materiałów lub informacji, wyjaśnienia i odpowiedzi na nasze artykuły interwencyjne. „Łomżyniak” sugeruje, że w redakcji są opasłe teczki krytycznych listów, których nie publikujemy. Najprościej byłoby rozwiązać swoje wątpliwości przychodząc do redakcji. Należałoby jednak prawdopodobnie do tych, którzy najchętniej wierzą w to, co sami wymyślą.

„Łomżyniak” ma ponadto tzw. spóźniony zapłon. Chyba było mu wiadomo, że przed ukazaniem się pisma ogłoszony został konkurs-sonda „Mnie to zainteresuje”. Mieszkańcy Łomży przesyłali swoje propozycje. „Łomżyniak” oczywiście nie wziął w nim udziału. Nigdy też potem nie przyszedł ani nie zatelefonował do redakcji, by podzielić się swoimi opiniami i uwagami. Wygodnie było spokojnie siedzieć i czekać — co też oni napiszą. A napiszą na pewno źle! Dla „Łomżyniaka” jest to ewidentne — „bo skąd wy pochodzicie?” Brawo za otwartość i szczerość. Jeżeli ktoś nie jest z Łomży, to nie może być przecież kimś zasługującym na szacunek i zaufanie. Niezłe poczuł się niektórzy z moich kolegów pochodzący z tego regionu. Tyle że oni mimo nieodpowiednich czy obco brzmiących nazwisk, nie kryją ich przed opinią publiczną, jak robi to „Łomżyniak”.

Rzeczywiście nie przedstawiliśmy się od razu na łamach pisma. Należałoby może zamieścić duże fotografie, żeby można było na ulicy palcem wytykać — „To ci, co chcą nam gazetę robić”. I koniecznie wytłumaczyć „Łomżyniakowi”, że powinien jakoś nam przebaczyć, że to właśnie my, ale mamy dobre chęci i odpowiednie kwalifikacje (w tym miejscu dołączyć odbliski świadectw urodzenia, maturalnych, dyplomów magisterskich i pomagisterskich, itd.). Wydawało nam się jednak, że chcemy pracować w gazecie, a nie występować na estradzie w charakterze gwiazd. Notabene zrobiono z nami wywiad radiowy, w którym mówiliśmy o sobie, o motywach przejścia do Łomży.

Skąd bierze się ta nieukrywana przez „Łomżyniaka” wrogość. Czyżbyśmy odebrali pracę jemu lub komuś bliskiemu? Nie wiem dlaczego redaktorzy łomżyńscy pracują jako dziennikarze w Warszawie lub Białymstoku a nie kwapią się powrócić do Łomży, choć wciąż jeszcze jest wolny etat. Widocznie mają powody. Może są gdzie indziej, aby „realizować własne cele?”

DANUTA SOBOLEWSKA



Rysunek Andrzeja Podulki

kontakty kontaktów

DOKOŃCZENIE ZE STR. 3

na początku br. dowiedziałem się, że wznoszony Ośrodek Telewizyjny swoim zasięgiem będzie obejmował jedynie Łomżę i być może Zambrow, wystąpiłem na sesji rady narodowej z wnioskiem o wyjaśnienie sprawy. Wojewódzka Komisja Planowania odpowiedziała, że rzeczywiście Ośrodek Nadawczy obejmie swym zasięgiem teren w promieniu około 20 km, z uwagi na przyjęte parametry, a wprowadzenie zmiany zasięgu z powodu zaawansowania inwestycji nie może wchodzić w grę. A przecież parametry zakładano już na etapie planowania. Dlaczego wobec tego naciągnęliśmy młodzież? Z jednego z pism wyjaśniających dowiedziałem się, że Ośrodek w Łomży nie jest obiektem „docelowym”. Łomża i okolice, i w ogóle cała północna część województwa odbierać będzie w przyszłości program II ze stacji Giżycko—Pisz, natomiast południowa — ze stacji Białystok—Krynica. A więc załataną małą łata dużą dziurę! Nasuwają mi się pytania. Jakim celem służyć będzie Telewizyjny Ośrodek Nadawczy w Łomży po wybudowaniu stacji w Giżycku? Czy koncentracja inwestycji na „docelowym” nie przyspieszyłaby ich realizacji, bo wydaje mi się, koszt budowy Ośrodka w Łomży osiągnął co najmniej połowę kosztów budowy jednej ze stacji „docelowych”? Czy władze wymuszając na Zjednoczeniu Stacji Radiowych i Telewizyjnych tę budowę myślały kategoriami ogólnowojejewódzkimi, kategoriami terytorium? Coś mi się wydaje, że zdecydowała tutaj zasada „bliższa ciulu koszuła”.

Nam, mieszkańcom południowej części województwa należą się jakieś wyjaśnienia. Z uwagi na „kontaktowość” tygodnika liczę na wyjaśnienia od osób, które podjęły te, moim zdaniem, nietrafną i nieegaltarną decyzję.

MAREK SKARZYŃSKI
Wysokie Mazowieckie

Łomżyniak, którego imię i nazwisko jest znane tylko redakcji, uprzedził mnie swoim listem, który był publikowany w 17 numerze „Kontaktów”. Zgadzałem się z nim całkowicie, że nie przyjmujecie pod swoim adresem żadnej krytyki. Lektura waszego pisma zmusza mnie do napisania kilku uwag. Redakcja działa już z górą 17 tygodni. Jesteście regionalnym tygodnikiem. Dbacie, a właściwie powinniście dbać o dobro regionu. Czy wywody pani Henczelowej, Sobolewskiej i innych ruszyły choć o milimetr jakąś drastyczną dla Łomży i jej okolic sprawę? Czy rozprawy pana Kulki przyspieszyły choć o minutę remont kina „Millennium”, otwarcie nowej księgarni czy antykwariatu? Czy nasz „Wymiatacz” przyczynił się choć o deko do poprawy stanu technicznego i wyglądu jedynego w Łomży stadionu? Po lekturze Waszego czasopisma dochodzi się do wniosku, że rzeczywiście najbardziej interesują Was „ploteczki” zasłyszane od łomżyńskich przekupek. I nie chodzi mi tu bynajmniej o artykuł „Działacze w ofensywie”, ale dla przykładu o teksty poświęcone panu Chętnikowi, czy szanownej pani doktor ze Szczepankowa. Czy nie wskazane byłoby abyście drukowali artykuły podobnej treści jak w numerze 16, dotyczącej 10-tysięcznego osiedla. Z tym tylko zastrzeżeniem, żeby dyskutanci nie byli anonimowi, lub żeby nie występowali na pół oficjalnie. Jeżeli natomiast adresat Waszego krytycznego artykułu mileczy przez okres miesiąca, i nie widać żadnej poprawy, czy nie byłoby dobrze, aby dziennikarz sam pofatygował się do delikwenta. Każdy z takich ludzi ma nad sobą odpowiednie władze. Mało prawdopodobne jest, aby wszyscy nabrali wody w usta. Więcej natomiast jest prawdopodobne, że Wy wszyscy oszczędzacie swoje buty. A może Wasz zasięg działania kończy się przed drzwiami budynków przy pl. Kościuszki i przy ul. Nowej?

Jerzy Prokopczuk
Łomża



DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

JAN BIAŁEK, pierwszy wójt łomżyński: — Mieszkalem w Warszawie. Ale o dzieciach trza było myśleć, żeby coś im zostawić. Wystarałem się u księcia o wójtostwo. Przywilej uczyniono i dano mi w Warszawie w sam dzień św. Feliksa i Aukta Męczenników, 30 sierpnia roku pańskiego 1400, w obecności świadków: Junoszy — sędziego zakroczymskiego, Bolesty — kasztelana wyszogrodzkiego, Macieja zwanego Gnat — podsejdy warszawskiego i innych, bardzo licznych i wiarygodnych świadków. Książę Jan, z łaski Bożej książę Mazowsza, Rusi... za wierną służbę dał mi w swoim mieście Łomży wójtostwo z czterema wólkami i trzecim denarem, prawdziwy tytuł dziedziczny z wszystkimi jego użytkami, ponomi, dochodami i przyległościami. Moje to było. Prawda. Ale w przywileju stało, że sprzedawanie, zamienianie i zmienianie w pożytek, jaki będzie się wydawał lepszy i użyteczniejszy z tego majątku, ja i moi spadkobiercy możemy czynić jedynie za wolą księcia i jego spadkobierców, o którą należy specjalnie prosić. Nie pozwalał książę ziemią kramarzyć. Od powinności dla kraju też nie zwalniał. Toteż musiałem z tego wójtostwa jeździć na wyprawy wojenne na koniu wartości 4 kóp groszy, z kuszą, w pancerzu i w caleptre, pospolicie zwanej kłobuczkiem, wypełniać powszechne obowiązki tylekroć, ilekroć to będzie potrzebne.

— Użyteczne, powszechne, potrzebne — powtórzyłam.
— Wystąpienia przeciwko prawom ludzkim zawsze były niesprawiedliwe — podszepnęła Przeszłość.

BARBARA KRÓLKA. O, tu jest o czym mówić. To pierwsza łomżyńska ofiara, „o wrażliwość”. „Instigator, urodzony JMPan Wacław Jeziorkowski, poborca ziemi wiskiej, zaproponował skargę przed sądem łantwójtowskim, na poddaną potomków JMPana Adama Jeziorkowskiego, na imię Barbarę Królkę, która zapomniawszy bojaźni Bożej i surowości prawa, mnie samego oczarowała i dobytek mój we dworz, która mi zdrowia wiele odjęła, aby mi przyznała, który jej to kazał mnie oczarować, a mnie te czary odczyniła. Przeto sąd łantwójtowski wisł, zasądzony w ratuszu ławnikami przysięgłymi: była pytana, jeśli ten uczynek JMei uczyniła i i gdzie te czary zakopala i jako oczarowała, która nie chciała się przyznać dobrowolnie przed sądem, potem i drugi raz i trzeci raz była pytana, i na to nie chciała się przyznać. Bo do czego miała się przyznać? Prosiła. Tłumaczyła. Na nic, jak grochem o ścianę. Ale człowieka można do wszystkiego zmusić.

Urząd łantwójtowski słysząc, że się Krółka nie przyznawa do swoich uczynków, kazał ją egzekutorowi na confessatę wziąć i ogniem palić, żeby się przyznała do tego uczynku, który poczyniła.”

— Nie mogę tego słuchać! — przerwałam.

— O, poczekaj, poczekaj — rzekła Przeszłość.

„Gdy była na torturach palona przez egzekutora ta Krółka raz i drugi, za trzecim razem powiedziała: Zem JMP Wacława Jeziorkowskiego i małżonkę JM Pana Ignacego, miecznika wiskiego, oczarowała in iterum atque iterum. Gdy była drugiego dnia na torturach w Jeziorku, tak powiedziała jako i pierwszej. Pytana była, który kazał oczarować JMPana Augustyna Jeziorkowskiego, panią bratową Wacławową i samego Pana Wacława, żeby jej nie bił i żeby jej zapisał wszystko.

Potem pytana była o oczarowanie JMPana Augustyna, powiedziała: Zem zakopala szkapia głowę pod chlewem [...] Po tym pytana była, wiele jest czarownic w Jeziorku, powiedziała, że Piotrowa Nowaczka, w Kownatach wójtowa, stara Stanisława, bo rosę ze mną brata i krowy kropiła, gdyśmy mleko od nich odbierali. Powiedziała też: są czarownice w Łomży, jedna Surminowa szewcowa była starszą nad nami; u Białego Kamienia za Kolnem w polu, gdzieśmy się zlatywali. Powiedziała też: i w Czarnocinie jedna Sobotczyńska Jędrzejowa, w Łubach Pęskach stara wdowa czarownica, w Janczewie u JMPana pisarza Janczewskiego powiedziała, że Pszeniczyna, stara Katarzyna. Będąc na ostatniej torturze powiedziała, że „ja biorę wszystkich tych na duszę swoją”.

Urząd łantwójtowski, wysłuchawszy jej, nakazał dekretem swoim na śmierć, by była ogniem spalona.”
— Spalona...



Adam Chętnik (1885-1967) — etnograf, znawca Kurpiowszczyzny, twórca muzeum regionalnego w Łomży, skansenu w Nowogrodzie, inicjator działu bursztyniarskiego Muzeum Ziemi w Warszawie.

ADAM CHĘTNIK — Kurp, który uczonym został, opowiada o cierpieniach całych wsi. O tych chłopach, na przykład, którzy w 1738 r. żołnierzy, co przyszli egzekucję ścigać, rozpedzili.

— Zbrodniarzy z nich zrobiono. Księża krzyżczy z ambon. Listy potępiające czytano na jarmarkach. I jak się to wszystko skończyło? Marcina Dziekiarczyka — za przywódce uznano — z królewskiej wsi Łyse skazano na karę śmierci przez rozczwartowanie i wbić na pal. Zona została, dzieci. Mikołaja Parciaka za nieposkromiony język także na rozczwartowanie przez kata. Tomasza Darmofala, Rachubkę i Tomasza Obrażnika — na powieszenie za mostem na rzecze jańsborskiej (tak nazywała się Pisa, płynąca od strony ówczesnego Jańsborga — Pisu). Dalej: Adama Wszarczyka i Jana Szablaka — na kary po 100 plag kijami przez 3 dni. Wojciecha Krzynówka i Mateusza Marcza — po 100 plag przez 2 dni... Przyszła banda żołnierzy i w chatach zamęt zrobiła, a ekonom dworski: „Daniny!” — krzyczał — daniny!” Skąd te daniny brać było, jak bieda aż pisała. Sam urodziłem się w Nowogrodzie, jako syn wiejskiego cieśli. Znam tę biedę. I znam pracę, przy cieście z ojcem stawiałem. Byłem najstarszy, musiałem pomagać. I kształcić się chciałem. Pomógł mi Bohdan Winiarski. Ojciec mój chwalił się zawsze, że rodowód swój może bez trudu wyprowadzić od przodka sprzed lat trzydziestu, który się tu osiedlił. Tradycji uczyłem się u Wincentego Pola, Teofila Lenartowicza, Oskara Kolberga, Aleksandra Polujskiego, Ludwika Krzywickiego, Zygmunta Glogera.

Pamiętam — mówi dalej Adam Chętnik — jak odstawialiśmy pomnik Stacha Konwy (było to w roku 1922, w lesie, jak się teraz mówi, Jednaczewskim). Tłum się zebrał w miejscu, gdzie — jak głosz podania — w roku 1735 zawisnąć miał na sośnie Konwa, zdrajczko pojmany bohater kurpiowski. Pomnikiem była barę na podmurówce. Staliśmy wszyscy i wielu nie wiedziało, na co czekamy. A to spóźniali się zaproszeni goście z Mazowsza — pruskie. Nie całe Mazowsze było wówczas polskie...

A Stanisław August zawsze z niesmakiem mówił: „Coście w tej swojej puszczy słyszeli? Szlachetkowie wasi burdy jeno czynić umieją. Zbiegłych chłopów po lasach szukać. To są brudne, kapkańskie osoby... Wiem, bom tam zjechać musiał, jak posłowałem do Sejmu w 1752 r. Ze też mnie akurat przypadło tu o głosi zabiegać. Mnie!” Przecież wiadomo, że wysokomazowiecki szlachcic dla nikogo szacunku nie miał, a do papieża pisał: „Wielebny Ojcie! Nie piszę Bracie, bo nie wiem, czyś szlachcic”. Ale prawda też jest, że uroczyście zaprzysiężono w Łomży i Zambrowie Konstytucję 3 maja, a patronował temu prymas zambrowski, Marcin Krajewski, Kawałor Orła Białego i Orderu Św. Stanisława, a na Sejmie Grodzieńskim przeciwko II rozbirowi Polski protestował poseł łomżyński, Tadeusz Skórzynski.

— Ale on sam — uściśla Przeszłość — swoje zaszczyty zawdzięczał kobiecie na stanowisku, Katarzynie II. Wtedy ten był czysty, kto miał czyste ubrania. August miał

A jeden z kardynałów należą u posła rosyjskiego pensję zapisał Rzeczpospolitej.

JAN KRZYSZTOF KLUK: — Urodziłem się w rok po kurpiowskim powstaniu. Nie z tej jednak ziemi pochodzą moi przodkowie. Ojca sprowadził do Ciechanowca, w roku 1735, książę Maksymilian Ossoliński, by mu, jako architekt, zaprojektował: zamek, kościół, szpital, klasztor. Skończyłem szkoły pijarskie w Drohiczyźnie, Łukowie i Warszawie. A potem objąłem parafię w Ciechanowcu. Chociaż bardziej niż księdzem, Boże, przebac, byłem rolnikiem. Dlatego też nieraz mówiłem owieczkom: „Módlcie się za mnie, bo ja nie mam czasu!”

— Za to nauka księdzu wiele zawdzięcza...

— Pijarzy wydali „Roślin potrzebnych, pożytecznych, osobliwie krajowych albo które w kraju użyteczne być mogą utrzymanie, rozmnażanie i zażyte”. Potem drugi tom dzieła botanicznego: „O drzewach i ziołach, dzikich lasach etc.”, i trzeci „O rolnictwie, zbożach, łąkach, chmielnikach, winnicach, roślinach gospodarskich”.

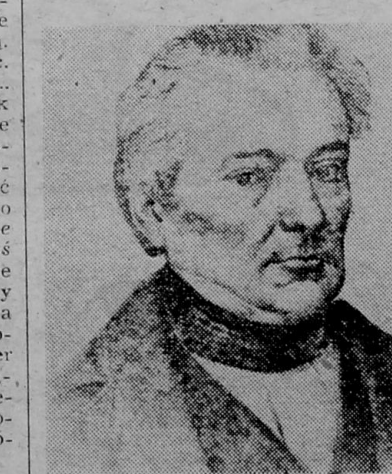


Jan Krzysztof Kluk (1729-1796) — przyrodnik, ksiądz, autor dzieł botanicznych, zoologicznych z zakresu rolnictwa, leśnictwa, mineralogii, stanowiących przełom w polskich naukach przyrodniczych i rolniczych.

— Sam JAKUB WAGA, autor „Flory polskiej”, z dykcjonarza księdza korzystał.

— A, to o mnie mowa. Moja praca magisterska z zoologii nie ukazała się nigdy drukiem. Strata wielka; rozważałem o narządach oddychalnych ryb. Profesor Michał Szubert botanika ze mnie zrobił. A na całe dorosłe życie — nauczyciela. Trzydzieści cztery lata pracowałem w łomżyńskim gimnazjum. Wspominają mnie jako autora „Flory polskiej”, bom ją napisał tak, aby i osoby mniej obeznane z botaniczną naszą terminologią łatwo zrozumieć mnie mogły. Pomnik mi w parku postawili.

W Łomży i w Grabowie, skąd pochodzę, mówią tylko o mnie. A przecież bracia moi też wkład do nauki wnieśli niemały. Profesor Stanisław Herbst, nie botanik, mówił łomżyńszczyźnie o mojej rodzinie: „Trzy pokolenia drobnoszlacheckiej, nauczycielskiej — tutejszej rodziny wrosły ze szkoły, by wspomnieć zastugi dwu kolegów — szczecińskiego i łomżyńskiego — i szkole potem służyły zarówno miejscowej, jak i stołecznej. Losy tej rodziny [...] znane są od średniowiecza, a służba szkole była pchiona przez nią w tym zrozumienu, że tylko ten potrafi dobrze nauczać, kto stale pa-



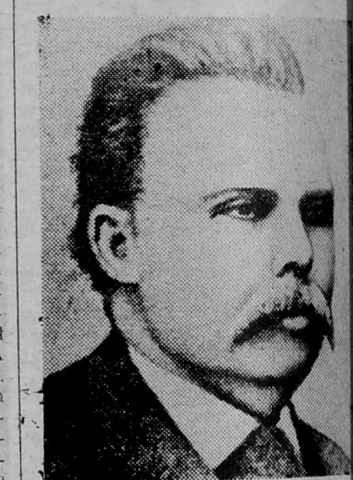
Jakub Ignacy Waga (1800-1872) — przyrodnik, florysta; w pracy „Flora Polska” zebrał i opisał ok. 1500 gatunków roślin z terenu Królestwa Polskiego.

nuje nad współczesną wiedzą i przystępuje. Ten dobrze wychowuje, kto pozna najbliższe środowisko, jego rodnicze i tradycje narodowe. Dlatego na dziś i na zbliżające się stulecie wzór mogą stanowić ci nasi poprzednicy z XVIII i XIX wieku.”

Starszy brat, Teodor, był znanym historykiem, prawnikiem i geografem. Podróżował lat parę z młodszą hrabią Krasickim po Włoszech, Francji, Anglii. Antoniego znałem współcześnie jako fanatycznego entomologa. Syn Władysław zmarł na gruźlicę we Włoszech, po przejeździe w więzieniu austriackim — za udział w powstaniu styczniowym. A zapowiadał się na dobrego poe.

Cień lampy zadrgał na suficie. A ZYGMUNT GLOGER!

— Ciągłe jesteście bliżej starym zwyczajom ludowym. Mickiewicz dał słowo „dziady”, niepospolity rozgłos. Przy pierwszym wydaniu „Dziadów” wyjaśniał czytelnikom, że jest to nazwisko uroczystości, obchodzonej dotąd między pospolstwem w wielu powiatach Litwy, Prus i Kurlandii. Na pamiątkę dziadów, czyli w ogólności zmarłych przodków. A uroczystość ta początkiem swym siła czasów pogańskich. Grecy nazywali ten dzień Pyanepstia. Poganie zwali ją uczą Kozła, bo je przewodniczył Kozłarz — zarazem kapłan i poeta. W moich czasach ponieważ światło duchowieństwa i właściciele usiłowali wykorzenić zwyczaj połączony z żagobionem praktykami i zbytkiem, częstokroć nagannym, pospolstwo świeci dziady tajemnie, w kaplicach lub pustych domach niedaleko cmentarza. Kościół walczył z tym zwyczajem od roku 988, kiedy to opat z Cluny, Odilo, wprowadził w klasztorach kluniackich stałe święto ku czci zmarłych wyznawców Chrystusa. Od XII wieku cały kościół zachodni czaduszki 2 listopada. Ale zwyczaj pozostał. Nadal zbiera się pospol-



Zygmunt Gloger (1815-1910) — etnograf, archeolog, historyk, dziennikarz, organizator i prezes Towarzystwa Krajoznawczego, autor m.in. „Encyklopedii Śląska polskiego”.

stwo przy suto zastawionych stołach, żeby wywoływać dusze zmarłych. Czemu na Litwie dziadytem na Podlasiu i Mazowszu były i są zapewne, wyprawiane w dzień zaduszny stypy i obiadki żałobne, lud polski, pod wpływem duchowieństwa, nadal zwyczajom i charakter chrześcijański pobożności i nieraz zaprasza księży na „obiady żałobne”, zastawione potmach zamożnych kmieci w dzień zaduszny. Maria Rodziewiczówna piosłownie opisała czwartek powielnocy, czyli dziady wiosenne, to „Nawski dzień”, w którym lud w Prypecią i Muchawcem niesie reki święcone na groby rodzinne i tuje niby wspólnie z duchami zmarłych na ich mogiłach. Tak... W Łomży byli też mistycy, jak w centy Lutosławski. Wiele ciekawych rzeczy o nim opowiadano. Na przykład Boy pisał, że aby mieć jakkolwiek pojęcie o tak osobliwym człowieku, jak on, nie wystarczy znać jego pisma filozoficzne, ale anegdotalny ich podziewek. Ciężko takie fakty, jak stacja świadczalna dla płodzenia genów, założona w Tunkis, przy deputacji profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego w adamowym soku, platońskie biesiady w łazi rzyjskiej, śluby czystości składane sali Teatru Ludowego przez żonaltowane krakowskie matrony, on chociaż miał zasady; idealny tylko bliskich, lecz nade wszytobardzo dalekich przodków.





Józef Remiszewski (1892-1963) — działacz SDKPiL i KPP, uczestnik Rewolucji Październikowej w Piotrogradzie, słuchacz.

— A wiesz — ciągnęła dalej Przesłłość — kto to był doktor MIECZY-SŁAW CZARNECKI? Bardzo mądry człowiek. Opowiadał mi: — Są ludzie, którzy mogą sobie na liberalizm pozwolić. Mój ojciec był telegrafistą. Ale studia skończyłem. Miałem przekonania, które nie wszystkim w Łomży się podobały. Bo PPS-Lewicę uważano za organizację „czerwonych”. W roku 1903, będąc w czwartej klasie gimnazjum, zorganizowałem z kolegami koło Związku Młodzieży Socjalistycznej. Członkami byli: Witke Suchodolski, Romek Jabłonowski, Włodek Czyżewski, Stefan Piekarski, Stach Siennicki i ja. Nawiązaliśmy kontakt z robotnikami; Zagrobą, Jastrzebskim i innymi. Takie to wszystko było poplątane, że kółka samokształceniowe prowadził Bohdan Winiarski z ramienia Ligi Narodowej. Pamiętam strajk szkolny i moje aresztowanie. W końcu roku 1905 stałe ukrywanie się przed żandarmami było niemożliwe. Po naradzie towarzyszy z moimi rodzicami postanowiono wysłać mnie na granicę. Dla rodziców było to jeszcze jedno zmartwienie. Pierwej zamartwiliem ich, gdy zostałem wyrzucony z gimnazjum; potem, gdy zostałem aresztowany; i teraz znowu, z powodu perspektywy rozstania. Materialnie było skąpo. W domu sześcioro dzieci. Z wysiłkiem rodzice zdobyli 200 rubli, opłacili „szykartę” do Ameryki, dali mi do ręki dwie złote pięciorublowki, bez których nie wpuszczano emigrantów spod caratu do USA, i pożegnali mnie. W USA pracowałem jako robotnik: w fabryce wagonów, w dołach, w korkowni, w fabryce Edisona (walki do gramofonów). Najdłuższy byłem fraserem, czyli prasowaczem marynarek, w dużej fabryce krawieckiej Schlas and Broders w Baltimore. Przypływało tam bardzo wielu Polaków. Pewnego razu

kolega z Łomży poprosił mnie, żeby poszedł z nim do robotnika Polaka, u którego zostawił łóżko, gdy otrzymał pracę na innym końcu miasta. Tenże robotnik odpowiedział: „Data pięć dolarów, to oddam”. Na nasze perswazyje rzekł: „Co z tego, że ja w kraju świnie paszę, a wy do szkół chodzicie. Jestem tu już 15 lat, dolary mam, łóżka nie oddam, a wy możecie iść świnie pasć”.

Wracając do Europy zwiedziłem Neapol, Capri, Rzym, Mediolan, Florencję, Wenecję. Z Triestu przybyłem do Wiednia, a stąd do Krakowa. Po zdaniu matury w gimnazjum św. Anny wstąpiłem na wydział lekarski Wszechnicy Jagiellońskiej. Dziwnym zbiegiem okoliczności na czoło trzech stowarzyszeń akademickich w Krakowie wysunęli się właśnie łomżyńscy: Bohdan Winiarski, mocna głowa prawnicza stał na czele narodowo-demokratycznego „Zjednoczenia”, Wiktor Supiński, brat księdza z Nowogrodu, prowadził „Zarzewie”, stowarzyszenie młodzieży radykalno-narodowej, a Witold Suchodolski, Roman Jabłonowski i ja przewodziliśmy socjalistycznej „Spójni”. Toteż na wielu wiecach i zebraniach łomżyńscy kruszyli kopie między sobą. Po przejściach i wojny światowej dowiedziałem się, że w moim rodzinnym mieście, Łomży, brak lekarzy. Wróciłem. Pamiętam, wielkim szokiem dla endeków i klerykałów stał się następujący fakt. Prezydent RP — Stanisław Wojciechowski, przybył do Łomży i miał spotkanie z przedstawicielami miasta w dużej sali gimnazjum. Byłem tam również jako radny miejski i kierownik ruchu spółdzielczego „Społem”. Gdy prezydent Wojciechowski zauważył mnie w tłumie, zbliżył się i zaczął rozmowę pytaniami o sprawy miejscowe. Trwała ona dobrych kilka minut. Otaczających endeków mało krew nie zalała, że prezydent RP wyróżnił tego „czerwonego diabła”, którego oni zwalczyli. Nie wiedzieli, że razem pracowaliśmy w Centralnej Radzie Nadzorczej „Społem” w Warszawie.

— A pamiętasz — szumią słowa — ALEKSANDER ZAWADZKI też tu był, za czerwonymi murami więzienia.

— Kiedy przywieziono mnie — wspomina — z więzienia kieleckiego do Łomży, towarzysze czynili wszystko, co było w ich mocy, aby wyciągnąć mnie z choroby. Dzięki dostarczonemu przez Eugenię Altenberg podręcznikowi i książkom oraz umożliwieniu korespondencyjnej nauki przerobiłem materiał ośmio-klasowego gimnazjum. W roku 1926 wybrano mnie starostą komuny. Zapropnowałem, a naczelnik to zaakceptował, aby codziennie przez siedem godzin wolno było aresztowanemu zbierać się do nauki polskiego, historii Polski i matematyki. Potajemnie uczyliśmy się filozofii marksistowskiej i ekonomii.

— Zawadzki już w powojennej Polsce mówił — uzupełnia Przesłłość: — Tłumaczcie ludziom, że socjalizm dla prostych ludzi to wielka rzecz. Zobaczcie, jak piękna będzie Polska. A JÓZEFA REMISZEWSKIEGO pamiętasz? Proste, skromnego człowieka, komunistę. Nie lubił mówić o sobie.

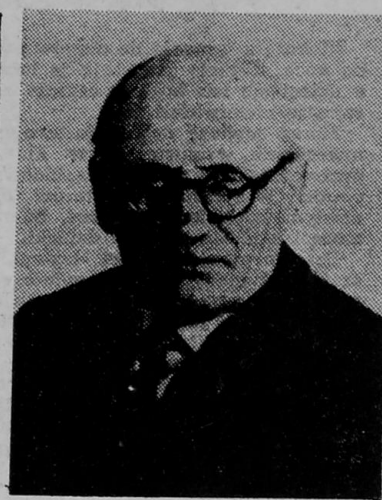
— Znał Nadzieję Krupską — przypominam sobie. — W okresie Rewolucji Październikowej był zastępcą przewodniczącego Dzielnicowej Rady Delegatów Robotniczych i Żołnierskich w Piotrogradzie.

— Siedziałem w więzieniach lat wiele. Kiedy po wojnie stanąłem znów za swoim ślusarskim warsztatem, ludzie dziwili się: „Ty, taki działacz, nie musisz rąk ślusarską brudzić”. Ale ja swoje wiedziałem. Nie pchałem się tam, gdzie miejsce dla mądrzejszych ode mnie.

W ciszy usłyszałem strzęp zdania: — „My twojej krzywdy tu nie chcemy. Pierś otworzymy bezboleśnie, węgiel gorący z niej wyjmujemy...”

W takich chwilach BOGDAN WINIARSKI mówił: — Polska to Polska. Co tu przekonania dzielić. I w przedwojennej, i w powojennej z założonymi rękami nie siedziałem. Kilkanaście lat mieszkałem w Łomży. Tu skończyłem gimnazjum. Po długich latach wojny przyszło dwadzieścia lat poważnej pracy zawodowej w Hadze. Moja podróż sentymentalna do łomżyńskich lat... To są w istocie drobniutki rozdział na przestrzeni lat niespełna dwudziestu; kończą się na roku 1903. Pamiętam, jak byłem w trzeciej klasie, razem z Michałem Achenbachem i Zygmunt Nikielskim powzięliśmy zamiar ni mniej, ni więcej, jak wydawania pisma gimnazjalnego. Oczywiście nielegalnego. Ponieważ było nas trzech, po dłuższych naradach nadaliśmy mu piękny tytuł: „Trójkąt Literacki”. Pismo miało być niezmiernie poważne i stać na wysokim poziomie. W pierwszym numerze ukazał się mój pierwszy rozdział „Historii Łomży”, skompiłowanej z encyklopedii, paru artykułów i jakichś książek. Dwaj inni redaktorzy umieszcili równie poważne prace. Kronika miasta i gimnazjum, surowa ocena pewnych wad naszej młodzieży i wymowne morały pod jej adresem wypełniały treść numeru, który przepisałem w jednym egzemplarzu drukowanymi literami. To była robota! Pismo upadło; nie z braku czytelników, lecz z braku entuzjazmu do pisania drukowanymi literami.

Zastanawiało mnie zawsze, że dawność Łomży, która mnie pociągała tajemniczym urokiem, jak niezgruntowana głębia Narwi lub wyiskrzona niebo w noc księżycową, dla innych była czymś obojętnym. W istocie nikt prawie się nad nią nie zastanawiał, nawet jej sobie nie uświadamiał; stąd moja nieduda i nie dokończona „Historia Łomży” w „Trójkącie Literackim” trzeciokla-



Bohdan Winiarski (1884-1969) — prawnik, profesor prawa międzynarodowego, sędzia Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze, w latach 1961-64 — jego przewodniczący, wykładowca Akademii Prawa Międzynarodowego w Hadze.

sistów. Myślałem sobie także, że badanie miejsca, na którym stał zamek książąt mazowieckich, fundamentów i podziemi, mogłyby dużo powiedzieć i ozdobić moje miasto urokiem odsłoniętego rąbka przeszłości; ale rozumiał, że te rzeczy będą mogły być zrobione dopiero w Polsce Niepodległej.

Jak pięknie wyglądał kościół i klasztor Kapucynów w maju! Od strony rzeki zdawało się, że szczyty starych budowli wznoszą się ponad obłoki białe i różowe, tak pysznie kwitły drzewa na zboczu góry. Po korytarzach klasztornych szły wonie słodkie i rzeźwiące karazem. Gdyś z górnych okien wyjrzał na ogród, nie mogłeś się oderwać od tego bogactwa barw i zapachów.

W takie dni na korytarzu, pełnym słońca i zapachów wiosny, lubiłem przyglądać się wielkiemu obrazowi przedstawiającemu taniec śmierci. Na środku śmierć w postaci roześmianego szyderczo kościotrupa wiodła wielkie koło z papieżem czy kardynałem, który z oczną niechęcią szedł w ten taniec. Dookoła, w dużych medalionach, śmierć wychyniała najróżniejsze skoki z biskupem, zakonnikiem, cesarzem, magnatem, żołnierzem, chłopem, żebrakiem, Żydem... Nie brak było i pań różnej kondycji. Pod każdym obrazkiem stosowny czterowersz przypominał tę pierwszą z czterech rzeczy ostatecznych.

— Znałeś ich wszystkich? — pyta Przesłłość. — Zazdroszczę. Ale wiesz co, idź już sobie, bo gotowa jestem zagadnąć cię o rzeczy dla kobiety niestosowne. Ile ty właściwie masz lat?

TERESA POLECKA

JAKOB WAGA

AUTOR FLORY POLSKIEJ

URODZONY 25 LIPCA 1800.

ZMARŁY 23 LUTEGO 1879.



„Pod kominem czy pod progiem
Wszędzie ich napotkać można
Czasem któryś za kucharkę
Poobraca pieczeń z rożna...
Czasem skwarków porwie z rynku
Albo liźnie cukru nieco
I posłucha okruszynki,
Co ze stołu w obiad zleca.”
(Maria Konopnicka)

Niebożęta wracają do domów późną nocą. Kobiety przestają je lubić, a dzieci się ich boją; z czasem zaczynają nienawidzić.

Zanim niebożęta dotrą do swojego mieszkania, wysuszą się w klatce, przeważnie pod progiem sąsiadów, i obudzi wszystkich lokatorów dośnośnym kopaniem w drzwi, bo nie może trafić kluczem do dziurki.

Czasem pomyli drzwi łazienki z szafą. Pół biedy, jeśli po całodziennym trudzie uwalni się w ubraniu do łóżka, gorzej, gdy zacznie trzeźwieć lub jest niedopite, bo wtedy karę za jego ciężki los ponosi rodzina.

Wczesnym rankiem niebożęta przetrząsa portmonetkę żony lub matki, a jeśli nie w niej nie znajdzie, bierze z szafy jakiś eluch i udaje się na poszukiwanie kumpli, aby w ich towarzystwie odbyć „kurację”.

NA STARYM RYNKU POD FILARAMI

— Wyskubałem trzy dychy. Jak otworzą sklep, lyknę się piwko, bo łeb boli.

— Ja też wczoraj dałem w rurę. Nie byłem na noc w chacie. Wycho-
dzę rano i wracam rano. Porządnym
jestem, no nie? Fundujesz piwko?

— Sam se fundnij. Jeleni szukasz? Jelenie wyginęły, bo ciężka zima była.

— Nie bądź taki!
— No pewnie. Ze mną piłęś, co? Teraz kumpla szukasz? Mówiłem, weź mnie ze sobą, to ty co? Dalesz dyla. Nie ma głupich! Zresztą mam tylko trzy dychy, a smażę mnie jak cholera.

— Nie mogłem cię wziąć, sam poszedłem na przylepę.

— Nie picuj, Toż opylłeś sikor i dzieńgi miałeś. Spadaj!

— A że ty h...! Sam spadaj, bo jak ci przy... to w ścianę wleziesz. Trzy dni cię będą tyłkami zeskrobywać!

— Nie strasz, nie strasz, bo się ubrudzisz. Moja lewa nie ważona, chodź, swancu, chodź!

— Spokój, k... nie bić się, ludzie chodzą! Jeszcze nas menty zwina. Jakie kozaki. A ty nie palacuj, postawisz browarek. Mam zapalniczkę na opych. Znajdziemy jelenia i obalimy jakiegoś belta. Fest?

— Skąd ja masz?

— Spał taki ćwok koło „Trupka”. Sikora już nie miał, tylko gazówkę i trochę moniaków. Był nieżywy, to towarzek mój. Kopsnij szluga!

— Mam jednego. Ostatniego i k... nie bierz.

— A ja błąd będę brać. Dawaj!

— Dam ci parę sztachów.

— No tak, usłmacyłeś do połowy. Zresztą nie chcę mieć trabanta. Daj całego!

— No, tylko nie trabanta, papużki co najwyżej. Sam masz trabanta od tej... Znajdź chamskie serce: masz, pal.

— Leciem pod sklep, zaraz otworzą. Trzeba zdążyć, zanim baby po mleko się zleca, bo będą dźwagać. Może nie sprzedać.

— O tam! Po elchu sprzeda. Sły-
szeliście? „Jabeoka” wczoraj zwinęli.

— Za co?

— Piwnicę załatwił. Kretyn, w swoim bloku. Dzieciarnia go widzia-
ła i gnojki powiedzieli glinom. Przy-
pieprzą mu za te korniszonki i
grzybki z pospiechu.

— Jasne. Teraz nie folgują, sukiny-
syny. Dostanie ze trzy kalendarze.
Recydywa. Dopiero co wyskoczył
warunkowo.

— No to idziem. Lecim na Szcze-
cin.

— Jak lyknę browarek, to idę się
przespać. We łbie chlupie.

— Ja bym też dał w kimono.

*

Wydział Zatrudnienia i Spraw Socjalnych Urzędu Miejskiego w Łomży na koniec września br. dysponował 162 wolnymi miejscami pracy, w tym dla robotników wy-
kwalifikowanych — 141, a dla kobiet — 21.

W pierwszym półroczu 1980 r. — wśród 896 sprawców przestępstw w województwie łomżyńskim — 161 nigdzie nie pracowało i nie uczyło się. Ich udział w przestępstwach kształtował się następująco:



- kradzieże z włamaniem do obiek-
tów społecznych — 43,5 proc.,
- kradzieże z włamaniem do obiek-
tów prywatnych — 26,3 proc.,
- kradzieże mienia prywatnego — 37,5 proc.

SKLEP PRZED PORANNĄ DOSTAWĄ PIECZYWA

— Dzień dobry pani kierownicze.

— Dzień dobry. Z samego rana już zaślimaczone.

— Nie już, teściowo, a jesz-
cze.

— Ja ci zaraz dam, łachudro, te-

ma. Miej pani litość dla biednych. Pan Jezus mówił: spragnionych na-
poić.

— Ja ci dam Pana Jezusa. Bez-
bożnik! Jaki mądrała.

— No, dać, dać! Nikt nie będzie
widział.

— Co dzień to samo. Tylko butel-
ki żeby mnie nie zginiły! A jak kto
was zobaczy, to popamiętacie, opo-
je!

— Nie zobaczy. Dawaj drobne,
no plać. Dziękujemy ślicznie, poleca-
my się na przyszłość. Pani to fajna
baba. Odwdzięczymy się.

— Dobrze, dobrze. Uciekać szybko,

niebożęta

JANUSZ PORĘBSKI

elował! Patrzcie, teściową se znalazł,
pijaczysko! Taki byk. Lepiej za ro-
botę byś się wziął jeden z drugim.
Dzieci nie mają co do gęby włożyć,
a on chla. Sumienia ani wstydu nie
ma.

— Ciiiicho. Bardzo przepraszamy,
ale da nam pani trzy piwka.

— Poszli won, pijaki! Nie dam, o
dziesiątej przyjdzie.

— No, dać. Jak towarek przywio-
zaj, pomogę nosić.

— Obejdzie się. Idźcie do domu.
Do dzieci, łachudry! Końskie zdro-
wie, tak od samego rana chlać.
Zdechniesz potem jeden z drugim.
Już kilku zdechło od gorzały i was
to czeka.

— Da pani, nie będzie taka, nie
żałuje.

— Jaka? No, jaka? Ja ci...

— No, taka nie tego. Dać, kie-
rowniczko. Bierzemy i już nas nie

bo kto zobaczy i na drugi raz nie
dam.

— Idziemy w bramę.

— Ale dobre! Jakby kto balsamem
gardło posmarował. Nektar żywota!

— Jakbym nie lyknął piwka, to-
bym zdechł. Dobre, tylko mało.

— No, leć, odnieś butelki, bo stara
cholera na drugi raz faktycznie nie
da.

— Da, ona tak zawsze gada. Rów-
niacha baba. I starej nie nie powie.
Wiesz co, mam umówione dwie skó-
ry z Zambrowa. Niezłe samice. For-
siaste. Będą dziś o dziesiątej na „Pa-
noramie”.

— Skąd je znasz? Czyste?

— Chyba czyste. Wczoraj na pe-
kaesach je zagadałem.

— Nie przyjadą.

— Przyjadą, młode cizie. A napalo-
ne! Jedna u nas robiła. Cicho, bo



„Cipa” już idzie! On nigdy nie ma
forsy.

*

W pierwszym półroczu br. 200
przestępstw (23 proc. ogółu wykro-
czeń) dokonały osoby działające pod
wpływem alkoholu.

Nietrzeźwi sprawcy przestępstw
stanowili:

- w zabójstwach — 100 proc.
- uszkodzeniach ciała — 72,2 proc.
- bójkach i pobiciach — 70,7 proc.
- zgwałceniach — 100 proc.
- znęcaniu się nad rodziną — 96 proc.
- kradzieżach i rozbojach — 85,7 proc.
- uszkodzeniach mienia — 100 proc.
- podpaleniach — 100 proc.

„PANORAMA”

— Fajnie tak poleżeć, słoneczko
przygrzewa. Miał być o dziesiątej
te k... Spóźniają się.

— Nie spóźniają się, tylko nie
przyjadą.

— Przyjadą. Teśka nie nawala.

Mówiłem ci, że u nas robiła. Zobac-
zysz: fajna samica. Jak przyjadą,
to bierzem od nich chaję. Skoczmy
do Leszcza, weźmiem ze trzy flachy
i grzejem do Jednaczewiaka. I w
dudy, i w rurę!

— Cicho, lezie „Cipa” z Henkiem.

Ten ma nos, zawsze wyczuje chłania.

— Z Henkiem? Przecież Heniek
siedzi w pudle.

— Coś ty. Siedział, ale nie w pu-
dle, tylko w wariatkowie, na odwy-
ku. Z chaty go wzięło pogotowie. Pa-
jaki po ścianach łapał. Białe my-
ki widział. Syfiliś orientalis.

— Cześć!

— Sie masz. Długo cię nie było.

— Byłem na dietcie. Teraz ma-
chodźcie na prochy. Chcieli mnie za-
szyc, nie dałem. Co ja, frajer? Bę-
esperalu można kopnąć w kalendarz.

Prochy są lepsze. Pod język.

— Nie polewaj, przecież pilnują.

— Strzykawa nie dopilnuje.

— Jak to? Za duży tam ruch.

— Jak to? Za duży?

— Normalnie. Bo tam i szabo-
sów przyjmują. Trzy przychodzi-
w dwóch pokojach. Przychodzi tam
co mu trzeba kaftan zakładać, to ko-
będzie ciebie pilnować? Strzykawa
patrzy na niego, żeby jej nie pa-
gryzł.

— Ale jaja.

— No pewnie. „Cipa”, odbijał.

— Fajny jesteś, wiesz, „Perla”?

— No, dawaj pod paluszek. Pier-
wszy, bo moje.

— K... uważaj bo przeciagnę.

No już, starczy.

— Moje, to mogę pociągnąć. Mo-
bym wam nie dać, ale towarzyski
stem. Masz, grzej.

— Teraz ja. Nie wycieraj, chy-
syfa nie masz? Ale siki, kwas!

— A coś ty chciał? Za duzo idzie
nie zdąży dojrzeć. Kwas siarkowy
chyba dolewają. Mnie po winie za-
sze zgaga piecze i nery zaczynają
wysyadać, ale na gorzałę nie mo-
patrzeć. W wariatkowie gorzały
ją do oporu, lecz się nie napijęst.

do żeru sypia prochy. Lykniesz, to
gasz jak cholera. Nawet od same-
wachania bebech wyrywa. Łopaj
daje szklanceczkę, zaprasza do pi-
a tu ci żywot do gardła i jedziesz
rygi. A potem musisz to pospra-
i jedziesz znowu. Wtedy ci się
daje, że do końca życia do mo-
nie weźmiesz. Ale gówno praw-
Żeby teraz mieć tyle gorzały, co to
się przez godzinę marnuje!

— Jakbym ja poszedł na od-
kówkę, tobym więcej nie pił.

— Gówno prawda. To szybko po-
chodzi. Jakbyś się zapalił i cho-
na prochy albo dał se zaszyć, to
że i tak. I trzeba iść do robo-
czym się zająć. A tak co: wy-
dzisz z chaty, spotykasz kumpla,
lykniesz? Musisz z kumplem lyk-
Jak wyszedłem, to na drugi dzień
kałem Cześka. Miałem kumpla
razić? Bebechy wyrywało, a pi-
lyknąłem, k... i żyje.

— Ale jakbym chciał, tobym
pił.

— Mówiłem, że gówno praw-
chyba że znalazłbyś babę, która
cię przytrzymała, albo wyjechał,
kaza zmienić środowisko. A co
k... mrowka? Muszę iść do za-
niaka, bo mnie przyskrzynia.

— Co ci robią. Przypuszcza-
Jestem k... wolnym obywatel-
nie? Moga mi na kant h... wsko-
Jeszcze zdaje się narobić. Stara-
sy na fajki da, na piwko przy-
bie i cześć!

— Czekaj, jeszcze wsko-
tobie i tak, dobrze: tylko mat-
kracze; a mnie i matka, i żona.
chy. K... kiedyś ją ukatrupię.

obyczaje



spiećcia



W Kramkowie (gmina Wizna) powstała Rolnicza Spółdzielnia Produkcyjna, która dysponuje trzema traktorami i pięcioma traktorystami. Ludzie mówią, że nawet ziemię zamierza kupić.

Gdyby Łomżyńskie Przedsiębiorstwo Budowlane respektowało zarządzenia wojewody, mielibyśmy w stolicy województwa o 2000 numerów telefonicznych więcej. Chodziło jedynie o przekazanie WUT-owi trzech pokoiów w rozłożystym gmachu LPB. Ciągłe się ludzimy, że niektóre przedsiębiorstwa, a one istnieją — jak mówi filozof — same w sobie i dla siebie.

Wojewódzkie Przedsiębiorstwo Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej dostało przydział blachy na remont przeciekających dachów w mieście. Nie otrzymał jej ani obywatel Kowalski, ani obywatel Wiśniewski. Kto by wiedział, co się z nią stało...

Mieszkaniec osiedla Południe w Łomży zlapał w ciągu pięciu lat 500 myszy. Jest się czym chwalić! Nasz kolega mieszkający na Górcze Zawadzkiej łowi codziennie w swoim mieszkaniu po dwie sztuki, przez co jego roczna wydajność wyniesie ponad 720. Chętnie ogłosimy inne oryginalne rekordy łomżyńskich.

Na pytanie Czytelników z ulicy Żeromskiego w Łomży, kto sprawił, że ryje się tam wielki dół bez znacunku dla cudzej pracy i wspólnego dobra w postaci chodników, trawników i ogródków, odpowiadamy: stary, sprawdzony sposób myślenia; ten sam który każe rozkopywać ściany pomieszczeń po założeniu wykładzin podłogowych i kopać studzienki ściekowe w gotowym asfalcie. Na drugie pytanie: kto za takie działania ponosi konsekwencje — odpowiedź jest od lat niezmienna: obywatel.

Aby nadrobić straty, jakie poniosła na innych budowach, brygada remontowo-budowlana z Rolniczej Spółdzielni Produkcyjnej w Rajgrodzie, podjęła się ona dobudowania kawiarni do miejscowej restauracji „Jawieźanka”. Okazało się, że w takich przedsięwzięciach nie wystarczy zapal, lecz potrzebna jest ponadto znajomość rysunku technicznego. W wyniku zawziętego wgrzyzania się koparki w fundamenty runęła cała ściana restauracji. Reparaty brygady może poprawić tylko jej przemianowanie na demontowo-rozbiórkową.

Gdy tylko „Gazeta Współczesna” zainteresowała się problemem konserwatora urządzeń melioracyjnych, który za różne ilości prac otrzymuje to samo wynagrodzenie, natychmiast Rejonowe Przedsiębiorstwo Melioracyjne rozpoczęło intensywne śledztwo, który to z jego pracowników ośmielił się dochodzić swoich praw. Jest to już prawidłowość, że krytykowane instytucje nie starają się naprawiać swoich błędów, lecz ściągają informatorów redakcji. Na marginesie tej prawidłowości chcemy uzmysłowić instytucjom dbającym o ład społeczny, które od 3/80 nr. „Kontaktów” poszukują tego, „co doniosł”, że łatwiej byłoby znaleźć takiego, co nie donosi, bo jest ich po prostu mniej.

dać. Strzelem po browarku w kafejce?

— W kurwym dołku?

— Nie kurwi dołek, tylko pogotowie seksualne. Nie wyrażaj się, k... chodź!

— Ale tu dymu, aż w oczy gryzie. Gdzie idziemy: na dół czy na górę?

— Na górę, k... Na dole mogą ci w kieszeń naszczać. Chamstwo. Pani zetrze ten stolik. I popielniczka pełna. Ale bydlę! Zabrać te butelki! K..., co za syf!

— Słucham?

— Cztery „laleczki”... albo osiem. Nie będzie pani musiała chodzić dwa razy. I od razu pani podliczy.

— Sto dwadzieścia proszę.

— Za co sto dwadzieścia, pani kochana...

— Zamówili panowie osiem piw.

— No to co... faktycznie, k..., ale się schlał, nie umiem liczyć. Proszę sto. Dołóż blaszkę, k...

— Proszę nie przeklinać. Na drugi raz nie podam. W stanie nietrzeźwym nie obsługujemy.

— Dobra, dobra. Pani ładna, łaskę pani robi, co? Klient nasz pan, k...!

— Ciszej, nie zaczepiaj, daj spokój. Nie rób bałaganu. Zobacz, jakie skóry siedzą. Ta biała jest niezła. Byś?

— Bym, ale nie ma kondycji. K...! lator. Zawołaj te k... do stolika. Mała, chodź no! Nie ty, pokrako! Ty! No ty. No, chodź! Idziesz, czy mam po ciebie iść?

— Zachowuj się, k..., znowu zaczynasz? Ludzie patrzają.

— Ocy mają, to niech patrzają. Niezła ta biała. Poszedłbym z nią.

— Daj spokój, żeby potem w ręczniku nosić?

— No to co? Penicylinka i po zawodach! No, chodź, kochanie. Kawę funduję. Chodź tu, siadaj!

— Koleżanka sama zostanie? Poproście ją.

— A nie ma syfa?

— Ale cham. Pewnie że nie ma. O, jakby sam był lepszy. Ledwo ślipiami pata. S... do żonki, alfonisie!

— Jak ja alfonis, to ty k...! Wypraszam sobie!

— Bardzo panią przepraszam, madam, on tak nie myśli. Zalany. Plecie byle co.

— Dobrze mówi: on plecie! Zocha, chodź, panowie proszą. Zocha, no chodź!

— Dzień dobry.

— Heniek.

— Zosia.

— Zocha co se dupe cocha, ha, ha, co se dupe...

— Ale pan świnią.

— Za to rasowa, bo mam prosty ogon. A byle świni się zakręca.

— Weź pan tę raczkę! Ludzie patrzają, co se pomyslił?

— Pomyslił to, co trzeba. Jaka wstrętność!

— Nie obrażaj dziewczyn, bo se pójda.

— Nie pójda. Wypijemy piwko, weźmiemy dwa winka i pójdziemy na skarpę. Zgoda, pani Zosiu?

— Ale ten kolega chyba nie da rady iść. Już zasypia. Zmęczyl się, niebożatko. Trzeba go odstawić do domu.

— Do domu? Ja jeszcze mogę. Do domu nie idę, jutro pójde. Chcecie mnie spławić, tak? Takiś kolega? Czeka, ty śwancu! Nie to nie, idę sam. Jesteśmy na wieczasach, w tych cygańskich lasach... Lalunia, weź mnie z sobą. No, daj buzi. No, chodź kochanie.

— Ale się schlał. Weź tę rękę. Do żonki, do dzieciaków! Cham.

— Pocałuj mnie w dupę. Jesteśmy na wieczasach... Do żonki! Tyś nie warta jej miłości wspominać. Jesteś ładna, najpiękniejsze dziecko Baby Jagi. Ty k... No, daj buzi. Chodź, pójdziemy do „Kamery”.

— Nie do „Kamery”, tylko do domciu. Chodź, odprowadzę cię.
— Nie idę, mówię. Jadę taryfa. Kelner, taksówkę proszę!
— Cicho bądź, przyglupku, po milicję zadzwonią i cię zwiną.
— No to co? Odwiozł mnie do domu. Już kiedyś mnie odwieźli, dobrzy ludzie, a przedtem do lekarza. Całe szczęście, że żłobka u nas nie ma. Za drogi gips. No, lala, leciem do „Kamery”. Kelner, k..., ile razy będę powtarzał: taksówkę, a jak nie, to wódki! Płacę i wymagam!
— Proszę opuścić lokal, bo zadzwonię po milicję! Zabierz pan kolegę!
— Lokal? Kurwi dołek, a nie lokal.

Od stycznia do czerwca br. za ekscesy w stanie nietrzeźwym na terenie województwa MO zatrzymało w aresztach 530 osób, z tego 341 w samej Łomży, sporządziło 880 wniosków do kolegium za zakłócenie porządku i spokoju publicznego pod wpływem alkoholu, 640 za kierowanie pojazdami w stanie nietrzeźwym i 29 za nabywanie alkoholu w miejscach niedozwolonych.

CIEMNE PODWÓRKO

— Ludzie, ratunku! Ratunku! Bij! Panie, za co? Ojej!

— Co, do żony ci pilno, ty s..., do żony?

— Ratunku! A masz! Ty... Ojej!

— Odechce ci się!

— Oj, boli! A to łobuz? Ale mnie zająsył. Rękaw oderwany i koszula we krwi... Wódki mi się zachciało.

— Panie, co panu jest? Ale pan wygląda, no, no.

— Nie pani sprawa!

— Nie moja. Rozgrzeszy pana żona.

— Mówię grzecznie: nie pani sprawa.

— Pan tu nie pierwszy. Co dzień ta sama polka. Nie wiedział pan, gdzie idzie?

— Wiedział.

— To po co szedł? Łazą, świnię, zamiast do domu, do dzieci. Dziwek im się zachciwa. Skąd mają tyle pieniędzy?

— Boli, chyba mi żebra połamał, bydlak!

— Tak. Zgrana rodzinka. Mama z córką przyjmują gości, których tata przyprowadza. A córeczka nieletnia. Sodoma i Gomora! Ze też milicja ich nie pozamyka. Co dzień przyjeżdżają, wywożą klientów, leją pałami, ale to nie pomaga. Okradli pana?

— Zaraz, nie mam portfela, chyba gdzieś zgubiłem.

— Zgubiłem, zgubiłem. Zabrali. Ukradli!

— Niech się pani odczepi, czego pani chce?

— Nie moja sprawa, oczywiście, ale już patrzeć na to nie mogę. Ani kary, ani miary. Zgrana rodzinka. Nikt nie pracuje, a żyją jak lordy! Obskubują gości. Spać nie można. Za co pana pobili?

— Powiedział, że się do jego córki przystawiam. Do takiej gówniary? Ja? Stary chłop, pijany, miałbym. Milicja straszy. Wygonił na schody, zaczął kopać i bić.

— Raz jednego okradli, pobili i wrzucili do kałuży koło śmietnika. Leżał chyba ze trzy godziny, aż go milicja zabrała. Ale dobrze tak pijakom! Będą mieli nauczkę. A pan niech idzie do domu, bo tu zaraz będzie milicja. Codziennie przyjeżdża. Tę rodzinę zna. Coraz któryś z synów idzie do więzienia. Jednego dzieciaka, chyba ze cztery lata ma, zabrali do sierocińca, a ich praw rodzicielskich pozbawili. Co z tych dzieci wyrośnie? Kolejni klienci meli i potajemek. Tacy jak pan.

Fot. GABOR LÖRINCZY

NA ŁOMŻYŃSKIEJ
ULICY

— Ty, chodź no! Kolegi nie poznasz? Pożycz dychę!

— Od kogo?

— Nie bądź taki. Oddam. Jak Boga kocham, oddam. Smaży mnie.

— Splewaj!

— A może zapalniczkę kupisz? Znowu gazowa, jeszcze nowa. Wczoraj kupiłem. Oddam za proletariat, nieboga.

— Pięć dych! Głupich szukasz?

— Gatu nie ma!

— To se kupisz!

— Dam ci trzy dychy. Przecież to żelna.

— Frajer, trzy dychy? Za trzy dychy to mnie możesz... Pięć, ostatnie słowo. No co, bierzesz? Mówię, wczoraj kupiłem.

— Nie czaruj; trzy dychy.

— Kasia szukasz?

— Nie to nie.

— Daj na belta.

— Za ileś spuścił?

— Mam na flachę.

— No to grzejem.

— Czeka! Idzie znajomek.

— Cześć. Gdzie lećisz?

— Do roboty. Cześć!

— Od roboty ludzie umierają.

— Masz pożyczć stówkę do jutra?

— Nie żartuj.

— Pożycz. Brakuje nam do połowy.

— Mam dwie blaszki.

— To dużo wam brakuje. Mnie też brakuje. Ale dziś dzień bezgazowy.

— Kupisz?

— Spokojna czacha. I zaciapę bawo.

— Jak będzie chciała, to da. Ja na kłosa nie jadam. Kiedyś jedna k... umiała kotletami z pieków. Ale ją wyskrzynili.

— Dobra, przynieś i grzejem.

— Jak będzie chciała, to da. Ja na kłosa nie jadam. Kiedyś jedna k... umiała kotletami z pieków. Ale ją wyskrzynili.

— Dobra, przynieś i grzejem.

— Jak będzie chciała, to da. Ja na kłosa nie jadam. Kiedyś jedna k... umiała kotletami z pieków. Ale ją wyskrzynili.

— Dobra, przynieś i grzejem.

— Jak będzie chciała, to da. Ja na kłosa nie jadam. Kiedyś jedna k... umiała kotletami z pieków. Ale ją wyskrzynili.

— Dobra, przynieś i grzejem.

— Jak będzie chciała, to da. Ja na kłosa nie jadam. Kiedyś jedna k... umiała kotletami z pieków. Ale ją wyskrzynili.

— Dobra, przynieś i grzejem.

— Jak będzie chciała, to da. Ja na kłosa nie jadam. Kiedyś jedna k... umiała kotletami z pieków. Ale ją wyskrzynili.

— Dobra, przynieś i grzejem.

— Jak będzie chciała, to da. Ja na kłosa nie jadam. Kiedyś jedna k... umiała kotletami z pieków. Ale ją wyskrzynili.

— Dobra, przynieś i grzejem.

— Jak będzie chciała, to da. Ja na kłosa nie jadam. Kiedyś jedna k... umiała kotletami z pieków. Ale ją wyskrzynili.

— Dobra, przynieś i grzejem.

— Jak będzie chciała, to da. Ja na kłosa nie jadam. Kiedyś jedna k... umiała kotletami z pieków. Ale ją wyskrzynili.

— Dobra, przynieś i grzejem.

— Jak będzie chciała, to da. Ja na kłosa nie jadam. Kiedyś jedna k... umiała kotletami z pieków. Ale ją wyskrzynili.

— Dobra, przynieś i grzejem.

— Jak będzie chciała, to da. Ja na kłosa nie jadam. Kiedyś jedna k... umiała kotletami z pieków. Ale ją wyskrzynili.

— Dobra, przynieś i grzejem.

— Jak będzie chciała, to da. Ja na kłosa nie jadam. Kiedyś jedna k... umiała kotletami z pieków. Ale ją wyskrzynili.

— Dobra, przynieś i grzejem.

— Jak będzie chciała, to da. Ja na kłosa nie jadam. Kiedyś jedna k... umiała kotletami z pieków. Ale ją wyskrzynili.

— Dobra, przynieś i grzejem.

— Jak będzie chciała, to da. Ja na kłosa nie jadam. Kiedyś jedna k... umiała kotletami z pieków. Ale ją wyskrzynili.

— Dobra, przynieś i grzejem.

— Jak będzie chciała, to da. Ja na kłosa nie jadam. Kiedyś jedna k... umiała kotletami z pieków. Ale ją wyskrzynili.

— Dobra, przynieś i grzejem.

— Jak będzie chciała, to da. Ja na kłosa nie jadam. Kiedyś jedna k... umiała kotletami z pieków. Ale ją wyskrzynili.

— Dobra, przynieś i grzejem.

— Jak będzie chciała, to da. Ja na kłosa nie jadam. Kiedyś jedna k... umiała kotletami z pieków. Ale ją wyskrzynili.

— Dobra, przynieś i grzejem.

— Jak będzie chciała, to da. Ja na kłosa nie jadam. Kiedyś jedna k... umiała kotletami z pieków. Ale ją wyskrzynili.

— Dobra, przynieś i grzejem.

— Jak będzie chciała, to da. Ja na kłosa nie jadam. Kiedyś jedna k... umiała kotletami z pieków. Ale ją wyskrzynili.

— Dobra, przynieś i grzejem.

— Jak będzie chciała, to da. Ja na kłosa nie jadam. Kiedyś jedna k... umiała kotletami z pieków. Ale ją wyskrzynili.

— Dobra, przynieś i grzejem.

— Jak będzie chciała, to da. Ja na kłosa nie jadam. Kiedyś jedna k... umiała kotletami z pieków. Ale ją wyskrzynili.

— Dobra, przynieś i grzejem.

— Jak będzie chciała, to da. Ja na kłosa nie jadam. Kiedyś jedna k... umiała kotletami z pieków. Ale ją wyskrzynili.

— Dobra, przynieś i grzejem.

— Jak będzie chciała, to da. Ja na kłosa nie jadam. Kiedyś jedna k... umiała kotletami z pieków. Ale ją wyskrzynili.

— Dobra, przynieś i grzejem.

— Jak będzie chciała, to da. Ja na kłosa nie jadam. Kiedyś jedna k... umiała kotletami z pieków. Ale ją wyskrzynili.

— Dobra, przynieś i grzejem.

— Jak będzie chciała, to da. Ja na kłosa nie jadam. Kiedyś jedna k... umiała kotletami z pieków. Ale ją wyskrzynili.

— Dobra, przynieś i grzejem.

— Jak będzie chciała, to da. Ja na kłosa nie jadam. Kiedyś jedna k... umiała kotletami z pieków. Ale ją wyskrzynili.

— Dobra, przynieś i grzejem.

— Jak będzie chciała, to da. Ja na kłosa nie jadam. Kiedyś jedna k... umiała kotletami z pieków. Ale ją wyskrzynili.

— Dobra, przynieś i grzejem.

— Jak będzie chciała, to da. Ja na kłosa nie jadam. Kiedyś jedna k... umiała kotletami z pieków. Ale ją wyskrzynili.

— Dobra, przynieś i grzejem.

— Jak będzie chciała, to da. Ja na kłosa nie jadam. Kiedyś jedna k... umiała kotletami z pieków. Ale ją wyskrzynili.



Weszli do pensjonatu. Maria w pokoju zapaliła lampę, zaciągnęła story i poszła się kąpać. Adam został sam. Stan pełnego odrętwienia powoli mijał i wracało napięcie. Chciał, by Maria już wróciła, jakby obawiał się własnych reakcji, gdy się spóźni. Rozebrał się i położył. Maria zgasiła lampę i poczuł ją przy sobie. Słowa w dotyku gubią się i stają się niepotrzebne. Bezwstyd zbliżenia każe krzyczeć, wołać imiona, powtarzać obelgi, których się nie pamięta. I wtedy są tylko razem, gdy są zniszczeniem. Potem cisza, odejście, zapomnienie, sen.

Adam wyjechał z Jastarni dopiero w południe. Z trudem znalazł miejsce w przelotnym wagonie i sennie obserwował karłowate sosny z wylotem na diuny i morze. Upał stawał się nieznośny. Doskonale pamiętał, co mówiła Maria, chociaż ulotnił się już zapach jej włosów, ciała. „Mój utracony czas jest okrucieństwem; nie wobec ciebie, wobec mnie samej. Kiedy odkryjesz różnicę naszego wieku, będę zgubiona. W twojej pogoni za życiem nie znajdziesz jednak innej kobiety, która mnie zastąpi. Będziesz płakał nie wtedy, kiedy mnie stracisz, lecz kiedy zyskasz miłość następną”.

Wysiadł we Władysławowie i powoli się w poszukiwaniu autobusu. Miał godzinę czekania. Poszedł się wykapać. Woda, mimo upału, dawała ochłodę. Przebrnął łachę, popłynął. I gdy wrócił na brzeg, na kamieniu siedziała Jola.

— Wracam z Gdańska i czekam na autobus, a ty?

— Przyjechałam po sprawunki. Zocha bała się rozminąć z tobą. Ubiierz się, zdążymy wypić kawę.

Taras kawiarenki był zaraz obok; usiedli.

— Od Janka nie masz wiadomości?

— Wysłano go do Rawicza. Może wracając z urlopu wstąpię na widzenie.

— Trzy lata. Wytrzymasz?

— Po co? Jak ci się zdaje?

— Dla siebie.

— Nie jesteś szczery. Takie kłamstwo nikomu nie jest potrzebne. Najmniej jemu.

— Nie jesteś w najlepszym nastroju.

— A co ty chciałaś? Łazimy z Zochą jak dwie lesbije. Chłopcy nas unikają. Może nie potrafimy, może nie chcemy, na jedno wychodzi. Zal mi Janka i nie umiem sobie poradzić. Ty też pracujesz na bokach, a Zocha sama.

— Nie przesadzaj.

— Nic o nas nie wiesz. Nie chcesz wiedzieć. Nie jest ci to potrzebne.

Nie podejmował rozmowy. Patrzył na smugi słońca, kolorowe cienie w morzu. Upał drgał w powietrzu. Poprosił o piwo, kiedy przyszedł autobus. Brudny, zapyłony, ledwie dygotał. Jolka skierowała się do wyjścia. Adam zapłacił za kawę. Należało się spieszyć, mogli nie dostać miejsca. Jolka usiadła koło okna. Adam w przejściu. Nie miał zresztą wyboru. Nareszcie ruszyli i świeża bryza powiała z okna. Jola odechnęła.

— Rzucam politykę, wychodzę za mąż i rodzę dzieci. Mam dosyć. Moje szerokie biodra marnują się, gotowe zwieźć. Popatrz na te bachory. Są fajne i głupie. Dokuczają bez przerwy matce.

— Na mnie nie licz — mruknął Adam i przymknął oczy, szukając drzemki.

Autobus trząsł się, prychał, co chwila gotowy był stanąć. Przed Rozewiem otwarło się morze. Lisi Jar.

— Może wyjdziemy i przespacerujemy się piechotą. Stąd niedaleko — zaproponowała Jolka. — Chcesz, wyjdziemy na dół i wykapiemy się. Wzięłam kostium.

Morze biło o brzegi i cofało się z niepokojem. Jola nie była brzydka dziewczyna. Kuciała w wodzie, zanim weszła, pływała dobrze. Wyszli na brzeg, aby nieco się pogrzać.

— Te cholerne mewy krzyczą na niepokoję. — zauważyła ze złością. — podczas deszczu w Tupadłach można się wściec, a ty będziesz w

trudnej sytuacji — zażartowała półserio. — Ile razy zdradzałeś już Zochę?

— Zapomina się o tych sprawach łatwiej niż myśli. Obowiązuje zresztą lojalność. Lubię Zochę. Przywiązałem się do niej.

— Lecz ona ma cię dosyć. Nie żartuj. Zaniedbujesz ją. Nigdy prawie z nią nie rozmawiasz. Podejrzewa cię o romans z Cechą.

— Bzdury — zachnął się.

— Bzdury bzdurami, ale do niej łazisz. Która kobieta potrafi to znieść?

— Bezcelna jesteś.

— Jestem, jaka jestem. W nikim się jeszcze nie kochałam. Z Jankiem spałam z litości. Bezradny chłopak i uczciwy. Nawet się do niego przywiązałam. Czasami chce mi się puścić, ale z kim? I po co? Jakaś gimnastyka, po której żadnych

— Władza uderza do głowy. Był Wilhelm, ludziska kurwili się. Jest Polska, kurwią się nadal. Pan myśli, że gdziekolwiek jest inaczej?

— Są tacy, co kurwią się, i tacy, co pracują.

— Ma pan rację. Co wart człowiek bez pracy? Ojciec rybaczyl, ja rybaczę i syn rybacz. A żyję z czego? Z tej chałupy, co ją wynajmuje letnikom. Dzięki temu mogę siedzieć na przyzbie, popalić.

— Syn myśli tak samo?

— Co tam syn, on biega za babami. Każdy wiek ma swoje prawa. Przyjdzie pora, zastanowi się. Nie przyjdzie, nie zastanowi się. Nie daj Bóg wojna! Niemce nas zginią, swoi nie pogłaszczą. Panu się nie śpi?

— A nie śpi. Zona się obraziła.

— Podarka jej pan nie przywiózł, ot co.



WŁODZIMIERZ SOKORSKI

ZOSTAĆ SOBĄ



Zdjęcia ze zbiorów Archiwum Państwowego w Łomży i Łomżyńskiego Towarzystwa Fotograficznego.

wspomnień. Nie sądzisz, że czas już iść? Przed nami cztery kilometry, ściemni się i mogą nas zgwałcić.

— Nic z tego nam będzie. Mam pecha.

Śmieli się, ubierając, a gdy wyszli z Jaru — słońce zapadało w morze. Powiało chłodem.

— Nie schowają nas te niskie sosnki. Należy się spieszyć. Zocha gotowa pomyśleć Bóg wie co.

Okrył Jolę marynarką. Szli coraz szybciej, na skróty. Za ścianą lasu pojawiły się Tupadły. Przed chatą natknęli się na Zochę.

— Razem o tej porze?

— Głodna jestem, może znajdziesz coś do zjedzenia? — zapytała Jola.

Weszli do izby i znowu padło to same pytanie. Odburknął mało grzecznie. Zocha obraziła się i położyła się spać z Jolą. Adam narzucił sweter i wyszedł na dwór. Noc była ciemna, czekały psy. Dostrzegł gospodarza, który siedział na ławce i pykał z fajki.

— Nie wyrośnię pan, można uśiąść.

Jakiś czas trwało milczenie. — Przyjechał pan z Gdańska? Niemce rozrabiają?

— Szwabę jak szwabę; nasi tracą forszę w kasynach gry.

— Zapomniałem i teraz mam za swoje.

— Kobiety należy głaskać jak kota. Nigdy pod włos.

— Pójdę już. Chcę odpocząć.

— Sen niedaleko śmierci, zawsze zdążymy, chyba że panu zimno.

— Do wszystkiego należy się przyzwyczaić, do chłodu również.

Po ciemku namacał swoje łóżko. Spała na nim Jola. Położył się obok i zasnął.

13

ROZDZIAŁ

Minał rok. Rozłam w PPS-Lewicy przybrał większe rozmiary niż oczekiwano. Andrzej Krupa wystąpił z publiczną deklaracją, wskazującą na próby opanowania kryzysu przez KPP. Ogłoszono go prowokatorem. Wielu starych działaczy, założycieli PPS-Lewicy, albo odeszło z Krupą,

albo odsunęło się od pracy. Należał do nich również Augustyniak, mimo że Targowiak spędził z nim wiele godzin na poufnych rozmowach.

— Nie będę parobkiem „komuny” — powiedział wprost i otwarcie. Współpraca na równych zasadach, tak; przybudówka, nie.

Pozostała natomiast w PPS-Lewicy Dąbrowska i jej duży autorytet uratował warszawską organizację. Powołano tymczasowy Komitet Centralny, którego przewodniczącym został działacz robotniczej Łodzi, Franciszek Polka. Sekretarzem nadal Targowiak. Trudna sytuacja w organizacji „Trzech Zagłębi” wymagała doraźnej interwencji.

W jesieni 1929 roku miały się odbyć wybory do Sejmu Śląskiego. Była to poważna akcja, którą należało wykorzystać. Adam wyjechał do Katowic. Zatrzymał się w Świętochłowicach u miejscowego działacza, Piotra Oszczygła. W pokoju z kuchnią, gdzie mieszkał Oszczygł, wraz z żoną i synem, postawiono jeszcze jedno łóżko. Piotr wprowadził Targowiaka w aktywny Śląsk i dał kontakt do Klemensa Nogi w Dąbrowie Górniczej. Pracować nie było łatwo, gdyż aktywni — popularni na Śląsku — Wolnych Związków wypowiedzieli się za Krupą.

Nieocenieni natomiast okazali się Wit Hanke z Wielkich Hajduk i Jan Olszyna z Królewskiej Huty. Noga zapoznał Targowiaka z Kramarzem z Chrzanowa i w ten sposób najtrudniejsze zagłębie, krakowskie, zostało również uchwycone w ramy organizacyjne. Czas był najwyższy, gdyż rozpisały wybory do Sejmu Śląskiego określały nowe zadania i legalność PPS-Lewicy pozwalała wysunąć kandydatów na posłów w łamieniu całej lewicy.

Niemal co wieczór Targowiak wracał do Świętochłowic i, zmęczony śmiertelnie, wóltował między hałdami do osiedla, gdzie mieszkał Oszczygł. Dostawał żupę, kawalek mięsa i kładł się spać. Nacierała zima. Chłodno było, wilgotno, a okno należało zamykać ze względu na dzieci; duchota nie zawsze dawała usnąć.

— Spisz? — zagadnął kiedyś Piotr.

— Nie.

— Jak sądzisz, damy radę w tych wyborach?

— Listę zalegalizowali, zobaczmy, jak ludzie będą głosować.

— Korfanty jest od nas silniejszy. Należy się liczyć z represjami.

— Korfanty to historia śląskiego ludu, lecz i Wieczorek jest u nas znany, działacz robotniczy, twardy chłop.

— Ludzie muszą wiedzieć, co stanie się jutro. Korfanty będzie zawsze, Wieczorek zamknie. Wszyscy wiedzą, że komunista.

— To też jest sprawa przyszłości. Bez niej nasza walka nie miałaby sensu.

— Nie chodzi o słowa, Adam, życie ludzkie. Nasze życie tu, w tych hałdach. Dla mnie komunista — nasz człowiek, a dla ludzi? Nie wiem.

Pewnego dnia przyjechała Zocha. Kochali się pod pierzyną, gdy wszyscy usnęli. Ale była to miłość radości. Mówili o niczym. Narazili wyjechali.

Na konferencję wyborczą z kandydatami na posłów wkroczyła policja i wszystkich aresztowała, tym również Targowiaka. Mimo z listy Jedności Robotniczej PPS-Lewicy wybrano do Sejmu dwóch posłów, Wieczorka i Komendera. Targowiak dostał pięć miesięcy twierdzy.

Więzienie było znośne. Pojedynka, spacer półgodzinny, książka biblioteki więziennej, gazety, samotność. Dokuczał mu jedynie chłód i mrok celi. Próbowal się gimnastykować, chodzić. Starosta komuny Roman Sliwa, nawiązał z nim kontakt, podał szyfr. Adam mógł stać kaniem w kaloryfer grać w szachy.

Długie dni miały powoli, na chodzącą depresję. Perspektywa stracenia roku akademickiego i usunięcia z politycznego życia, stawała się nieznośna. Mógł pisać, ale po co dla kogo. I tak przy pierwszej wizji zabrałaby mu wszystkie kłopoty. Gra w szachy stawała się udręką. Sędzia śledczy, prokurator, adwokat, stanowili pewien wyłom w murze milczenia.



także i na hermetyczną, wydawało-
by się, myśl Wschodu. Artykułowa-
ne tam pragnienia są już troszeczkę
inne: dzisiejszy mędrzec hinduizmu
chce być wiecznie, choć niekoniecz-
nie tak, jak tego doświadczył w by-
taniu ziemskim. Oto T. L. Ram-
ana wiele lat swych studiów podsu-
nuje przeświadczeniem, że czło-
wiek po śmierci przechodzi do in-
nego wymiaru rzeczywistości i znaj-
duje tam drugie swe życie — takie
mianowicie, jakie sobie uprzednio
wyobrażał. Na katolika czeka więc
św. Piotr, na Żyda — Mojżesz, a na
mahometanina, raj z pięknymi hu-
rysami. Myśl ludzka, wyobraźnia i
marzenie staje się tu ciałem, choć
samo ciało obraca się w nicłość.

Myśl o śmierci towarzyszy nam
od momentu, w którym staliśmy się
ludźmi. Jest to nie w porządku, dać
człowiekowi życie zatrute świadom-
ością, że je utraci — pisał Wolter.
Zwierzęta mają jednak nad nami
jakąś przewagę. „Jowisz, tworząc
nas, zrobił sobie żart na chłódno”.

A. Toynbee opisuje reakcje, jakie
rodziła ludzka świadomość nieu-
chronnego kresu. W starożytności
przeważał hedonizm — „używać
świata póki służy lata” i „carpe
diem”, oto hasła takiej postawy. Lęk
przed śmiercią rodzi orgie rzymskie.
Herodot opisuje króla Mykerinosa,
który — nie chcąc tracić czasu —
przez 6 lat nie spał, poświęcając
się zabawie. Żyje się raz, więc
wszystko dozwolone — powie zwo-
nnik ucieczki w uludę. Żyjąc raz
mamy tylko jedną szansę na życie
autentyczne i uczciwe, replikuje
Heldegger. Ten sam punkt wyjścia.
Cóż, jakże różne, wnioski.

Pessimizm, to także myślenie o ży-
ciu skazanym na śmierć. Życie nie
ma tu sensu i dobrodziejstw jest

możliwie szybki koniec udręki. So-
fokles: najlepiej byłoby wcale się
nie rodzić, a temu, kto już raz się
narodził — jak najprędzej opuścić
ten świat. „Pieszczochy bogów umie-
rają młodzi” — to myśl Byrona,
kontynuowana współcześnie przez
egzystencjalizm.

Próbowano przezwyciężyć śmierć
przy pomocy środków materialnych
— szukając eliksiru młodości, mu-
mifikując zwłoki, grzebiąc je zaop-
atrzone w pokarm itp. Chciano o-
siągnąć nieśmiertelność zdobywając
sławę. Sądzono, że potomstwo jest
jedyną formą istnienia przezwycię-
żającego ograniczoność bytu jedno-
stkowego.

Mówić o śmierci jest czymś tak
intymnym, że aż wstydlwym. Jest
to temat tabu, tam przede wszyst-
kim, gdzie życie w swym material-
nym wymiarze dostarcza wielu pod-
nień i przyjemności. Bywa przecież
odwrotnie, że śmierć staje się te-
matem obsesyjnie obecnym, że po-
padamy w niewolę czegoś, co zwie
się tanatofobią. Czy wobec tych
skrajności jest jakaś rozsądna mia-
ra; czy można o śmierci mówić i
myśleć tak, jak mówimy o filmie
czy pracy zawodowej? Czy mówie-
nie o śmierci jest jej „oswajaniem”,
jak nazwał to subtelnie publicysta.

Nie są to pytania, na które można
oczekiwać kategorycznej odpowiedzi.
Odpowiedź jest tu pewnie nawet
mniej ważna od pytania, które jed-
nak odważyliśmy się postawić. War-
to może tylko spróbować spojrzeć
na przemijanie tak, jak robi to T.
Kielanowski; twierdzi, że zapadnie-
my kiedyś w sen. Nie obudzimy się,
jak co ranka — ale czy głębia tego
snu pozwoli na jakiegokolwiek fra-
sunki z tego powodu?

ANDRZEJ C. LESZCZYŃSKI
Fot. GABOR LÖRINCZY



myśl o śnie najdłuższym



Z DRUGIEJ STRONY CZASU

W roku 1637 Piotr Baryka ogłosił drukiem komedię pod znamienitym tytułem: „Z chłopów król”. Wiem, wiem, wszyscy ją czytali i znają. Może więc wspólnie przypomnimy sobie w kilku zdaniach treść tej sztuki. Rotmistrz i jego wojacy popiwszy srogo, postanawiają się zabawić. Oczywiście, kosztem chłopów. Upijają go porządnie, przebijają za króla, a gdy zasypia budzą i udają wiernych poddanych, pacholców, dworzan. Piłany kmieć daje się oszukać. Odpowiada mu taka rola. Siedzi sobie na tronie, je, pije, a oni donoszą mu jadło i napoje. W pewnym momencie przebiera miarę i zasypia. „Ocknąwszy się, swojej siły odmianie dziwuje, i, że z królestwa okradziony, z żalem wielkim narzeka”:

„Toć mi się dziwne rzeczy po głowie roily,
Jedno nie wiem, czy we śnie, czy na jawie były,
Zdało mi się, jakby mię ktoś za króla witał
A pamiętam tak dobrze, jak bym to wyczytał.
Stało kołem przede mną parobków
niemal. (...)
Wszyscy mi czapkowali, wszyscy czcili zgodnie,
Kłaniali się raz po raz, służyli ochotnie.”

Uciechy było co niemiara na dworze Alberta Łubińskiego gdzie sztukę wystawiono po raz pierwszy. Takie to były czasy, taka dola wie-

śniaka, którego można było wykorzystać bez miary, a dodatkowo jeszcze, jakby na deser, czynić przedmiotem drwin i uciechy.

Kiedy tak siedzę sobie w tym Janczewie i sięgam pamięcią w niedaleką przeszłość, a potem przenoszę się w dzień wczorajszy — widzę znowu Jego Wysokość Chłopa grającego swoją rolę, jakby na rozkaz, czy z przyzwolenia krotchwilnych rotmistrzów. Zaraz po wojnie, kiedy przyszła demokracja, wydawało się chłopu, że został panem. Ale wkrótce przyszedł ciężki czas próby. Obarczony ciężarami, obo-

żyje jak chłop: rozważnie, skromnie, oszczędnie.

Ale nie dla wszystkich, o, nie. Wystarczy, że pojedzie do urzędu, pojawi się w gminie, w sklepie. Do PZU wstąpi, do inspektoratu, czy wydziału, do WOPR-u pojedzie. Po swoje zajdzie — odebrać, zainkasować, przyspieszyć, ponaglić, poprosić. Wtedy stoi w kacie, czeka, słucha jak go rugają; bo przeszkadza, bo błoto niesie na urzędowe pokoje. Królem jest, a każdy na niego może warknąć, postraszyć, odesłać z kwitkiem do domu.

— Dlaczego tak się dzieje? — py-

jego wysokość chłop

wiązkowymi dostawami ponad siły, ciemniony przez poborców, pakowany do więzień, patrzył rolnik na świat i własnym oczom nie wierzył. Był on że królem, czy też nie był? A może to sen tylko? Potem znów przyszły czasy, gdy słyszał wielokrotnie, że jest królem. Dzisiaj także chłopu hołubi się, na rękach nosi, obiecuje złote góry. Obok Robotnika, Chłop urasta do roli vicekróla. I rzeczywiście jest nim w oczach mądrych ludzi, których na szczęście w naszym kraju nie brakuje. Jest nim naprawdę, chociaż

tam chrzestnego, a on mi tłumaczy i wyjaśnia.

— Każdemu się wydaje, że jest królem, każdemu. I księgowemu, i referentce i kasjerce. Królowi, księżniczce, to i nie dziwota, że patrzą z góry na chłopów, którzy jest tym królem na niby. Dla żartu.

— Nie, to nie tak! — wołam. — Chłop jest królem prawdziwym, a reszta to samozwańcy. Reszta to komedianci. Wszystko się pomieszało w tym teatrze. Słudzy i parobkowie azurpują sobie prawo do berła i korony. Bo kimże oni są wobec Jego

Wysokości Chłopa? Jakie dobro produkują? Otóż, wszystkie te urzędy powołano po to, aby służyły chłopu. Żeby mu ułatwiali życie, wyręczały go i pomagały. Kiedy Jego Wysokość Chłop do urzędu wchodzi, on powinien być najważniejszy, czekająca powaga. Nikt nie powinien popijać herbaty, palasować kanapki, ani rozmawiać przez telefon z przyjaciółką.

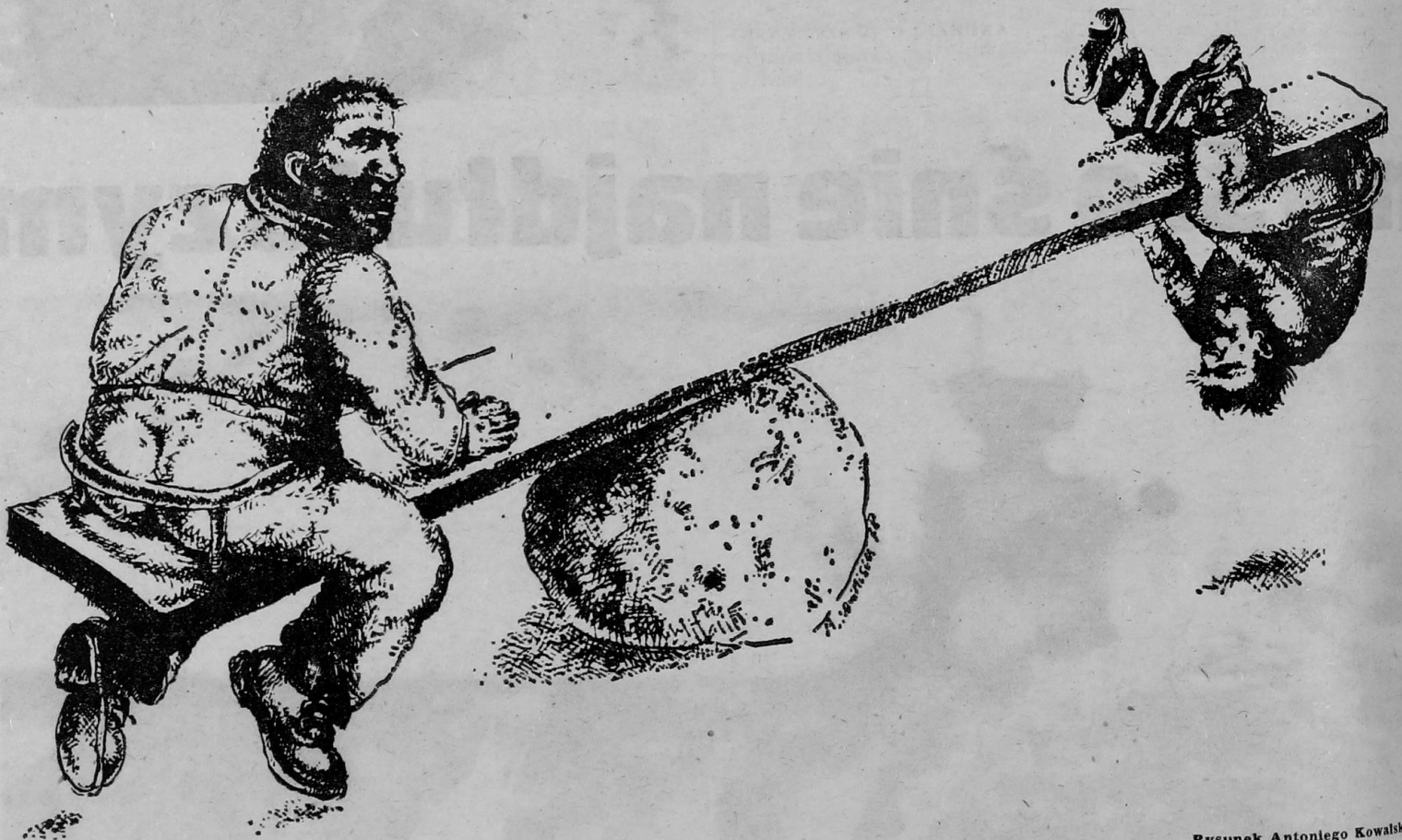
Czymże jest dyrektor, kierownik, prezes, czy nawet naczelnik wobec króla? Bo to o nim przecie, a nie o urzędniku tak pisał Wyspiański: „W oczach naszych chłop urasta do potęgi króla Piasta”. To jest z „Wesela” — mówi chrzestny. I to są słowa złośliwe, ironiczne. Bo zaraz dalej gospodarz z tego samego „Wesela” uzupełnia to następująco:

„A bo chłop i ma coś z Piasta, coś z tych królów Piastów —

Wiele! Już lat dziesięć pośród siedzą, sasiadujemy o miedzę. Kiedy sieje, orze, miele, taka godność, takie wzięcie, co czyni, to czyni święcie, godność, rozważa, pojęcie. A jak modli się w kościele, taka godność, to przejęcie, bardzo wiele, wiele z Piasta; chłop potęgą jest i basta”.

P.S. Na szczęście w naszej gminie chłop traktuje się jak trzeba. A to, co sobie powiedzieliśmy z chrzestnym, to takie ogólne rozważania.

TADEUSZ MOCARSKI



Rysunek Antoniego Kowalskiego

NA PIĘCIOLINII

Muzyczne mody przychodzą do nas z Zachodu; i zawsze tak było. Zresztą, czy tylko muzyczne? Beatlomania z całym bagażem społecznym, który przecież nie pasował do naszych warunków; absurdalna moda na „punk”, co jest bezsensowne jeszcze większym, bo czym jak czym, ale dobrobytem specjalnie zmęczeni nie jesteśmy; związane z tym agrafrki w uszach, co zakrawa na kpinę, bowiem agrafrki w sklepach również brakuje. „Punkowcy” w Londynie i gdzie indziej, to naturalna konsekwencja różnych wynaturzeń społecznych, efektem których jest moda na kulturę ugrzeczniejszą, perfekcyjną, tworzoną kosztem wielkich nakładów finansowych i ludzkich. „Punkowcy” to odpowiedź na brak zainteresowania dziełami ze strony rodziców, rozumujących kategoriami pieniądza i na ich drobniomieszczańskie wymogi. „Punkowcy” to — wreszcie — lęk młodego pokolenia przed białym kołnierzykiem konformistycznego urzędnika, białym ca-

dillackiem zaganianego businessmana, czy wreszcie losem bezrobotnego. Tygiel taki, że tysiące socjologów próbują zidentyfikować zjawisko, przylepić do niego definicję.

Ponieważ moda z Zachodu nie tylko przychodzi do nas, ale jest również bezkrytycznie adaptowana, na ulicach pojawiać się zaczęli polscy „punkowcy”, a na polskich estradach kopie brytyjskich grup rockowych, charakteryzujących się totalnym prymitywizmem muzycznym

nie ma się czemu dziwić. Strój niedbany jest w cenie tylko tam, gdzie strój doskonały nikogo nie wyróżnia, ponieważ każdy może sobie na niego pozwolić. W Polsce nie jest z tym aż tak różowo, więc zbyt długie, polatane marynarki, zbyt krótkie koszule i portki uszyte z trzystu kawałków nikogo specjalnie nie bawią.

Natomiast nasza muzyka rozrywkowa, która — przynajmniej w kategorii nowoczesnego rocka — już

tości nie do oddzielenia. Gdy więc muzyce tej odbierze się ideologię, jej prymitywizm kształt mija się z jakimkolwiek sensem. Jako przykład dałem tu zespół „Maanam”, a takich grup jest coraz więcej, także na naszym terenie.

Podstawą piosenek jest najczęściej jeden akord i jak najniższa ilość słów, wykrzykiwanych przy prymitywnym rzepoleniu na gitarze. Oczywiście, że muzyka brytyjskich „punkowców” wynikała z ich antentycznych, niskich umiejętności, ale u nas biorą się za to często ludzie, którzy dla mody stroją się w prymitywne piórka. Tak jak malarz z serialu Andrzeja Wajdy stylizujący swą mowę na górska gwara. Ale i on raz się zapomniał. On mi się zdaje, że za takie właśnie pominięcie publiczność może nagrodzić zespół oklaskami, a krytyka chwale. Zanim to jednak nastąpi trochę z naszej prywatnej i państwowej kiesy pójdzie na bełkot.

JAN JANUSZ

nie ta agrafrka

i werbalnym. Tam jednak moda sama podcięła swoją gałąź. Wsiadł na nią bowiem interes rozrywkowy i dał „punkowcom” do łapy pieniądze. Duże pieniądze. Agrafrki mogą być ze złota, a niedbany strój szyty jest przez wielkie domy towarowe i pracownię wytwórni filmowych, gdyż i one postanowiły zarobić na ruchu „punk”. U nas moda na strój nie przyjęła się zbyt, ale

osiągnęła zadawalający poziom, jest dosyć podatna na ekstrawagancję. I oto na rynku pojawia się grupa „Maanam”, rozwydrzona, przebiegana, w kiczowatych ciemnych okularach. Nie mam nic przeciwko strojom i okularom. Jestem jednak przeciwny muzyce i jej ślepyemu kopiom. Funkcjonują one bowiem w oderwaniu od ideologii, a przecież — w przypadku „punk” — są to war-



REPORTER: Jeśli sport jest jedynym z przejawów życia społecznego, to muszą w nim obowiązywać takie same normy i zasady, jakie stosują do siebie ludzie w normalnym życiu. Jeśli działacze sportowi są działaczami społecznymi i dysponują społecznymi pieniędzmi, to muszą być ludźmi o czystych rękach. Udowodnię, że nie zawsze tak jest. Będzie to opowieść o skandalach, które ofiarą padły nielegalnie dziewczęta, uprawiające do niedawna sport. Chcę za chwilę oskarżyć działaczy klubu sportowego „Włókniarz” za to, że łamią obowiązujące w sporcie prawa oraz zasady współżycia społecznego — zniszczyli ich i dorobek innych ludzi. Chcę ich oskarżyć o oszukiwanie Kuratorium Oświaty i Wychowania w Białymstoku, instytucji czuwającej nad kształceniem i wychowaniem dziesiątków tysięcy dzieci i młodzieży. Chcę ich oskarżyć o cynizm, bezwzględność, o nieetyczne postępowanie w stosunku do trzech uczennic szkół łomżyńskich. Przed trzema laty łomżyński działacz sportu postanowił stworzyć silny dziewczęcy zespół koszykówki.

ZYGMUNT DYTROWSKI: Jestem trenerem od lat 24; obecnie klasy pierwszej. W następnym roku będę obchodził 25-lecie swojej pracy. Poprzednio pracowałem w Wojewódzkiej Federacji Sportu w Białymstoku jak trener koordynator. Do Łomży przeszedłem pierwszego listopada 1977 r. Moja praca dała wyniki dopiero po prawie 2,5 roku, kiedy to zakwalifikowaliśmy się do finału VII Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży w Częstochowie, na której zajęliśmy dziewiąte miejsce, wypierając kluby ligowe, a również drużynę „Włókniarza” z Białegostoku. To najlepsze miejsce, jakie zajął ten zespół w swojej historii.

REPORTER: I to był początek końca łomżyńskiej drużyny.

ZYGMUNT DYTROWSKI: Pierwszego września nie zgłosiły się do szkoły Pelszyk i Konopko. Lenczowska była w Korei razem z reprezentacją Polski. Zadzwońmy do pani Lenczowskiej do Zambrowa i ona odpowiedziała mi, że dziewczęta, Pelszyk i Konopko, pojechały do Białegostoku, do szkoły. Marysia również chce tam przejechać, dlatego, że ona nie ma z kim w Łomży grać.

REPORTER: Jednego dnia trzy najlepsze zawodniczki odeszły z drużyny, która praktycznie przestała istnieć.

ZYGMUNT DYTROWSKI: Co zrobiła? Część dziewcząt w ogóle zrezygnowała, a część nie chce grać, bo czuje się oszukana. Ja zaś czuję się zawiedziona, bo dziewczęta powinny były mnie zawiadomić o swoim przeniesieniu się do Białegostoku.

REPORTER: Nie zawiadomiły też swoich szkół. Maria Lenczowska przeszła do Liceum Ogólnokształcącego, a dwie jej koleżanki — do Zespołu Szkół Zawodowych. Mówi dyrektor Zespołu Szkół Zawodowych w Łomży.

LEON RADZISZEWSKI: No, byłem zaskoczony tym, że nasze uczennice i reprezentantki szkoły, a również członkinie klubu sportowego, uprawiające wyczynowo koszykówkę, nie zgłosiły się do szkoły w chwili rozpoczęcia nowego roku. Po kilku dniach dowiedziałem się od pana Dytkowskiego, że nasze uczennice zrezygnowały z nauki w naszej szkole, jak również z uprawiania koszykówki w klubie, ponieważ zostały namówione do zmiany barw klubowych i przejścia do „Włókniarza” Białegostoku. Nie wiemy, na jakiej podstawie te uczennice zostały przyjęte do innego typu szkoły w Białymstoku. Dotychczasowe przepisy na temat przejścia ucznia do innej szkoły żądały pisemnej zgody dyrektora. Takiej zgody zarówno Komopko, jak i Pelszyk, ode mnie nie otrzymały, i po takiej zgodzie nie przetrwały się do szkoły. Do chwili obecnej ich dokumenty znajdują się w moim biurze, a więc prawdopodobnie zostały przyjęte w Białymstoku na podstawie świadectwa ukończenia szkoły pierwszej. A przecież każda uczennica, wychowawca klasy, dyrektor szkoły i Komitet Rodziców musi wkładać dużo wysiłku i starać się, aby uczennice te osiągały pozytywne wyniki w nauce, a jednocześnie miały szansę uprawiania sportu, ponieważ wykazywały do tego predyspozycje.

REPORTER: Ile lat pracuje pan w szkolnictwie?

LEON RADZISZEWSKI: Dwa-dziesiąt trzy lata.

REPORTER: Uważam, że poniósł pan porażkę wychowawczą.

LEON RADZISZEWSKI: Sądzę, że tak.

REPORTER: Jak by pan to wytłumaczył, dlaczego tak się stało?

LEON RADZISZEWSKI: Chyba dlatego, że jeszcze w dalszym ciągu nie są dograne w sporcie obowiązujące przepisy, dotyczące zmian barw klubowych.

REPORTER: Nie tylko przepisy mnie interesują; chodzi o aspekt wychowawczy. Przecież opiekował się pan dziewczętami, interesował ich nauką i treningami. Pewnego dnia nie przyszły do szkoły.

LEON RADZISZEWSKI: Nie spodziewaliśmy się czegoś podobnego. Cieszyliśmy się z ich sukcesów, bo one przecież reprezentowały szkołę.

REPORTER: Mówi sekretarz klubu sportowego „Włókniarz” Białegostoku.

MAREK KOZŁOWSKI: Po podjęciu przez dziewczęta nauki w Białymstoku wystąpiliśmy dokładnie 10 września z ich podaniem i z pismem, w którym prosiliśmy o udzielenie zgody na okres nauki dla dziewcząt, zgodnie z obowiązującymi przepisami Polskiej Federacji Sportu.

REPORTER: Pan Marek Kozłowski powołuje się na niewłaściwe przepisy. Oto treść podania klubu sportowego „Włókniarz”, jakie wpłynęło do LKS-u: „Klub sportowy „Włókniarz” w Białymstoku zwraca się z uprzejmą prośbą o udzielenie zwolnienia do naszego klubu na okres nauki zgodnie z paragrafem 14 uchwały numer siedem Zarządu Polskiego Federacji Sportu z dnia 19 maja 1977 r. zawodniczkom sekcji koszykówki naszego klubu: Marii Lenczowskiej, Dorocie Konopko i Marzenie Pelszyk. Od bieżącego roku szkolnego Maria Lenczowska podjęła naukę w III LO, Dorota Konopko i Marzena Pelszyk w Zespole Szkół Ekonomicznych w Białymstoku. W związku z podjęciem nauki na terenie naszego miasta złożyły one akces reprezentowania barw klubu sportowego „Włókniarz”. Przejmując na siebie odpowiedzialność za dalszy prawidłowy rozwój sportowy w/w zawodniczek klub nasz dołoży wszelkich starań, aby zabezpieczyć im właściwą opiekę wychowawczą-pedagogiczną w okresie podjętej w

Białymstoku nauki. Opierając się na faktach dobrze układającej się dotychczas współpracy naszych klubów, liczymy na pozytywną decyzję zarządu waszego klubu. Pozostajemy ze sportowym pozdrowieniem”. Podpisał: członek zarządu klubu sportowego „Włókniarz” — Marek Kozłowski.

MAREK KOZŁOWSKI: Podejmując naukę w szkole w Białymstoku nabyły uprawnienia kończąc pierwszą i drugą klasę w Łomży. To jest dostateczny dokument, na podstawie którego może być uczeń przyjęty do następnej klasy.

REPORTER: Marek Kozłowski kłamie, bo nie dziewczęta zgłosiły się do „Włókniarza”, ale „Włókniarz” do dziewcząt, i to dużo wcześniej. Oto dokument świadczący o cynizmie pana Kozłowskiego i kłamstwach innych działaczy. W Kuratorium Oświaty i Wychowania w Białymstoku znalazłem pismo z 7 czerwca br.: „Klub sportowy „Włókniarz” w Białymstoku zwraca się z prośbą o zabezpieczenie siedmiu miejsc w Bursie Międzyszkolnej w Białymstoku dla uczennic III Li-

ceum Ogólnokształcącego”. Dalej następuje lista siedmiu nazwisk, a wśród nich Doroty Konopko i Marii Lenczowskiej. Klub pisze dalej: „Wyżej wymienione są czołowymi zawodniczkami kadry Białegostoku w piłce koszykowej, przygotowujące się do VIII Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży. Uczęszczają do klasy z poszerzonym programem wychowania fizycznego”. Podpisał kierownik biura ds. organizacyjno-sportowych „Włókniarza”, Jan Nikiel. Kolejne kłamstwo. Przecież dziewczęta w tym czasie chodziły do szkół łomżyńskich i trenowały w LKS-ie.

MAREK KOZŁOWSKI: Podjęły naukę w Białymstoku pierwszego września.

REPORTER: Bo klub sportowy „Włókniarz” załatwił im to nieformalnie.

MAREK KOZŁOWSKI: Po pierwszym okresie zaaklimatyzowania się w szkole, w środowisku, zwróciły się do nas. W związku z tym, że są uczennicami szkół białostockich, mieszkają na miejscu, chciałyby kontynuować karierę w klubie sportowym „Włókniarz”.

REPORTER: Wiem już, że trójka dziewcząt znajduje się w rękach ludzi nieuczciwych. Mówią zainteresowane.

— W wakacje przyjeżdżali do nas, no i takie propozycje... I my w

końcu ześmy same nie wiedziały, co mamy robić. Z tej strony były argumenty i z tej strony były argumenty.

— Przede wszystkim w Białymstoku to perspektywa rozwoju...

— W Łomży też właściwie była.

— W sierpniu ci panowie z Białegostoku zaczęli przyjeżdżać. Spotkał mnie Marek Kozłowski w Zambrowie i powiedział, że do nas wpadnie. Przyjechał, tak mało poważnie przedstawił nam, jak się przedstawiają sprawy w Łomży i w Białymstoku. Później przyjechał drugi raz, to mnie nie było. Rozmawiał z mamą. Był chyba cztery razy, może nawet więcej. Kiedyś poprosił, żeby przyprowadzić Dorotę. Przyszłyśmy razem i właściwie ześmy nie podjęły żadnej decyzji. Powiedziałyśmy, że nie jesteśmy zdecydowane, że my jednak zostaniemy w Łomży. No, ale pan Marek przyjeżdżał i przyjeżdżał; Doroty już nie było, ja byłam sama. Powiedziała, że jeżeli dziewczyny się zdecydują pójść do Białegostoku, to właściwie nie będzie co robić w klubie i ja też przejeżdżę. Zresztą każda z nas tak stwierdziła. Ja nie mogłam powiedzieć, że któraś pierwsza wyraziła zgodę. Był pan Marek w sobotę i powiedział, że miejsca w internacie są już załatwione, w szkole też, i że możemy przyjeżdżać. No i myśmy się wtedy spakowały. Zresztą pan Marek przedstawił sprawę rodzicom, im się wszystko spodobało, bo właściwie takie perspektywy...

— Czy ja wiem, czy się tak wszystko spodobało? No, ale usłyszeły, że w Łomży się już nic nie dzieje i nie kroi, to...

— Skoro tam dają taką propozycję, to ześmy przyjechały w poniedziałek i poszłyśmy na rozpoczęcie roku szkolnego. Marysia nie było, my byłyśmy we dwie z Dorotą. Marysia wróciła w środę i od razu tu przyjechała, i tak zostało.

REPORTER: Jak zostało? Dwie dziewczynki zostały przyjęte nieformalnie do Liceum Ekonomicznego. Mówi dyrektor Zespołu Szkół Ekonomicznych w Białymstoku.

EDWARD FOLWARSKI: O przyjęcie do drugiej klasy uczennicy Marzeny Pelszyk i do klasy trzeciej Doroty Konopko zwrócił się wizytator Kuratorium Oświaty i Wychowania, pan Blachno, wraz z działaczem klubu sportowego „Włókniarz”. Ponieważ mamy miejsca, specjalność w zasadzie jest taka sama, co w Liceum Ekonomicznym w Łomży, więc wyraziłem zgodę na przyjęcie, pod warunkiem że pozostaną dokumenty, wraz ze zgodą dyrektora tamtej szkoły, zostaną dostarczone przez panów. Obaj panowie, którzy ze mną rozmawiali, zapewnili, że rozmawiali z rodzicami i rodzice wyrazili zgodę na przejście tych uczennic do mojej szkoły. No, dotychczas tej formalności w zasadzie nie dopełniono.

REPORTER: Pan wie, że to jest nieformalność?

EDWARD FOLWARSKI: W zasadzie tak, bo powinna być zgoda dyrektora szkoły. Takie są przepisy. Zawierzyłem im po prostu.

REPORTER: Przypomnę, że maczał w tym palce wizytator Kuratorium Oświaty i Wychowania, Marian Blachno. Ponieważ sprawa dotyczy dzieci, przepisy wymagają pisemnej zgody rodziców, a takiej w dokumentach nie ma. Aleksander Kudelski, dyrektor III LO w Białymstoku, do którego zapisała się Maria Lenczowska, odmówił pokazania mi akt, jakby podanie i świadectwo szkolne były dokumentami wagi państwowej. W bursie szkolnej przy ulicy Dobrej w Białymstoku nie znalazłem śladu dokumentów, na podstawie których przyjęto całą trójkę. Jestem pewien, że dziś te dokumenty już są. Mówi nauczyciel i wychowawca z 25-letnim stażem, pracownik białostockiego Kuratorium Oświaty i Wychowania.

WŁADYSŁAW ŚWIANIEWICZ: Uważam, że takie załatwienie spraw sportowców jest krzywdą dla tych dzieci.

REPORTER: Pańscy koledzy, nauczyciele i dyrektorzy szkół łomżyńskich, zostali też oszukani i wykpieni.

WŁADYSŁAW ŚWIANIEWICZ: Tak.

REPORTER: Podczas rozmowy z trójką dziewcząt dowiedziałem się, że są one rozczarowane. Jest im przykro, że dały się namówić dorosłym ludziom do takiej operacji. Wstydzą się tego.

Fot. GABOR LŐRINCZY

TOMASZ PIOTROWSKI

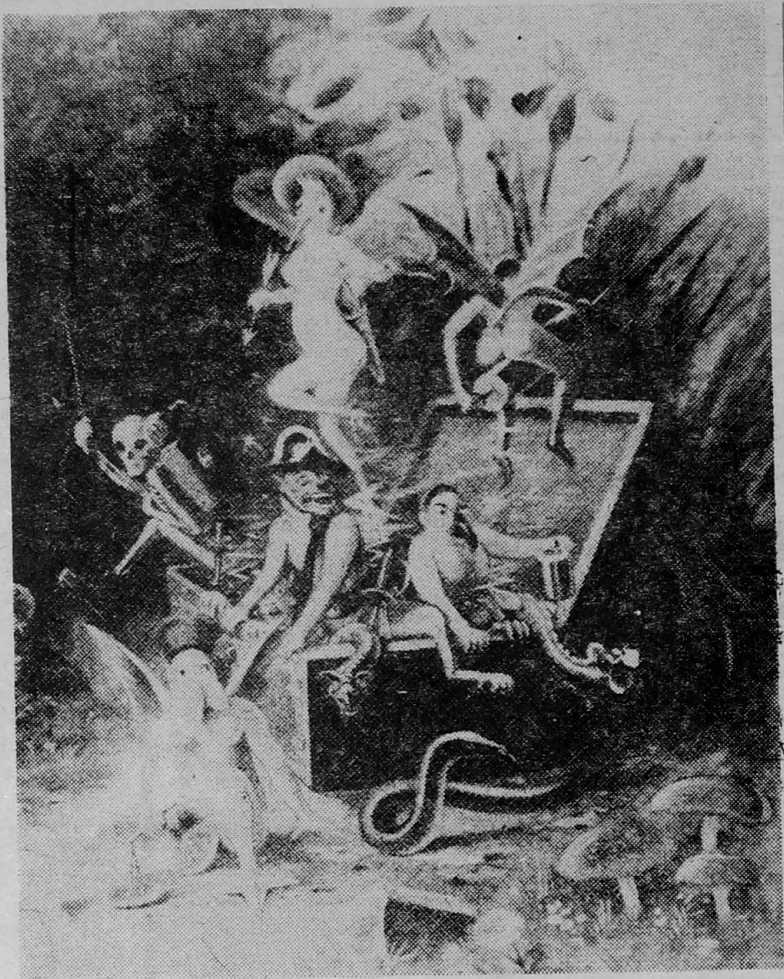
kidnaping

...ceum Ogólnokształcącego”. Dalej następuje lista siedmiu nazwisk, a wśród nich Doroty Konopko i Marii Lenczowskiej. Klub pisze dalej: „Wyżej wymienione są czołowymi zawodniczkami kadry Białegostoku w piłce koszykowej, przygotowujące się do VIII Ogólnopolskiej Spartakiady Młodzieży. Uczęszczają do klasy z poszerzonym programem wychowania fizycznego”. Podpisał kierownik biura ds. organizacyjno-sportowych „Włókniarza”, Jan Nikiel. Kolejne kłamstwo. Przecież dziewczęta w tym czasie chodziły do szkół łomżyńskich i trenowały w LKS-ie.



obcy czaje

Rysunek Andrzeja Podulki



Bernhard Pankok — „Diabelska skrzynia”.

Fot. Włodzimierz Cieslowski.

Ks. Benedykt Chmielowski
z rozdziału

REPTILIA, ALBO GAD

rzeczy czołgające się po ziemi
mianowicie węże cudowne

MINI-KABARET PIEKIEŁKO PRZEDSTAWIA DRAMAT ADMINISTRACYJNY DIABELSKIE OBRACHUNKI

Tym razem akcja toczy się na bezkresnych, choć ograniczonych, tomżyńskich pulwach, gdzie trzy znajome diabły, ob. ob. Narwiański, Bużański i Biebrzański, przentosty się, diabli wiedzą w jaki sposób, prosto z nadbiebrzańskich bagien. Czwartego diabła na razie brak. Panuje atmosfera napiętego wyczekiwania, diabli wiedzą na co.

NARWIAŃSKI: Oj, niedobrze, kuleczy! Tydzień mija, a my tu ciągle sami. Tylko patrzeć, jak nas szczury zeżrą z kopytami. Nawet rogów nie zostawią. Gdzie ten nasz kochany Supraski? Zawsze mówiłem, że lepszy durny Supraski niż żaden!

BIEBRZAŃSKI: Mądry diabeł po szkodzie, ot co! Ja też zawsze tak mówiłem.

BUZAŃSKI: I ja, chociaż, być może, głośno o tym nie gadałem. Wiecie, jaka była sytuacja.

NARWIAŃSKI: O ile sobie przypominam, zawsze żeście występowali przeciwko niemu, szanowny kolego.

BUZAŃSKI: Niby kto, ja? Dialektyki nie pojmujecie — tępy diabeł. Co wczoraj było faktem, dzisiaj może stać się kontaktem.

NARWIAŃSKI: Idźcie, wy do diabła z waszą dialektyką. Lepiej powiedzcie, co mamy robić dalej?

BUZAŃSKI: Proszę bardzo! Według mojego rozeznania należy intensywnie czekać. Prędzej czy później zawsze coś się wyczeka.

Ni stąd, nie z owad, pojawia się w dali jakiś bliżej nie zidentyfikowana sylwetka

Czy były replita w Korabiu Noego?

Odpowiadam, że Zwierzęta ex putri materia, albo z zgnilizny mnożące się, nie były, jako to Glisty, Pchły, bo te mogą zawsze genus suum reparare (odnowić swoje plemię), choć wyginą; gdziekolwiek się co zepsuło, zgnie, ulot to robactwo zrodzi się. Nierembergius Autor w Historii Naturalnej mniema, że tych Zwierząt Pan Bóg nie stworzył, ale ich jest Matką korupcyja, albo zgnilizna.

BIEBRZAŃSKI: Wszelki diabeł Lucyfera chwali, a cóż to za maszkara? Zgiń, przepadnij, siło nieczysta! Apagel!

SUPRASKI: Kuliedzy! Już wy mnie nie poznacie! Toż to ja we własnej osobie. Prosto z piekiel wracam, wiadomości wam niosę.

BUZAŃSKI: Co się z wami stało, ofiary? Wyglądacie tak, jakbyście przed chwilą wyszli z piekielnego kotła!

SUPRASKI: Bo i prawie co tak. Aktualnie w piekle, więcej, rozumiecie, rozrobka jak wszystkie diabły. Jeden drugiego za rogi trzyma i do smoły popycha.

BUZAŃSKI (z powątpiewaniem): Eeeee...

SUPRASKI: Prawde mówię szczerze! Belzebub Asmodeusza topi, Asmodeusz Belzebuba. Kuliedzy! Piekiło nam toni!

NARWIAŃSKI: A to niby w jaki sposób, wody podskórne zalały?

SUPRASKI: Musi co tak. Wszystkie szczury z czeluści się wynoszą, a oni zawsze wiedzą, co jest grane.

NARWIAŃSKI: Już teraz wiem, skąd ich tyle tutaj lata. Gdzie nie stąpniesz — tam szczur. Na ulicach, w domu, po śmietnikach laża! A każdy tylko patrzy, co by tu jeszcze uszczknąć dla siebie na ostatek.

SUPRASKI: No, no! W piekle cały przydział miensa zjedli, cukier wykończyli, za monke się, cholery, ostatnio bioro! Żywa klenska idzie na nas!

NARWIAŃSKI: Także myszy ostatnio jakby przybywa. Sam dziennie łapię po kilka egzemplarzy.

SUPRASKI: Myszki, powiadacie? Nu to już kłapa. Kalapitus z nami.

Dyskusja zbacza na kręte ścieżki starodawniej historii. Diabły wspominają szanowną dynastię Popielidów. Robi im się na przemian zimno i gorąco. Jakoś nikt nie proponuje toastu.

WIESŁAW TOMASZEWSKI

DIALOG NA DWA SZCZURY I JEDNĄ MYSZ

Rzecz dzieje się koło nie opróżnianego od dawna śmietnika na osiedlu „Jantar” w Łomży.

— O, patrzcie, kolego! „Kadryl”.

— Co?

— Czarny salceson! Eee... Oni to nazywają kaszanką, choć kaszy gryczanej w niej nie uwidzisz.

— Mówią, że przeceniona! Hi, hi, hi...

— A to co?

— Sardynka „karłowata” grubo-luska. Co za bukiet smakowy!

— Nie bądź takim człowiekiem, daj spróbować. Ze też nie można na zapas się najęść; źle pomyślane! Słyszałam, że ludzie nie będą budowali na osiedlu zaplanowanych pawilonów handlowych, bo to zahamuje jakąś moc przerobową. Teren do dalszej rozbudowy nie przygotowany. Nie uzbrojony! I grozi zawalenie planu.

— Czego? Planu? Hi, hi, hi. Żadnego wniosku z ostatniej lekcji historii nie wyciągnęli. Dalej robią na ilość.

— I, co gorsze, mówią, że trzeba będzie rozbierać niedawno postawioną stację trafo przy śmietniku na górze.

— Robotnicy kłeli, że to marnotrawstwo środków społecznych...

— Czego?

— No, ludzkich pieniędzy. I niech tylko ktoś spróbuje, to już go... Ostatnio, gdy szedłem do tej stacji (ciepło tam i spokojnie), o mało mnie nie przejechał wiśniowy polonez.

— Oj, ciężkie czasy nas czekają, kolego szczurze! Nie wybudują pawilonów handlowych, to wiadomo, że i w śmietnikach będzie pusto. Diabli by wzięli tego, co te plany zmienili. Za jedno tych budowniczych możemy jednak pochwalić. Połączyli wszystkie budynki przewoźnymi kablami i rurami. Teraz całe osiedle możemy przejść, nie dotykając ziemi łapami. A w piwnicach, to istny dla nas raj. Temperatura stała, prawie mikroklimat. Do tego mroczno i ciągle mokro. Jakby dla nas budowali.

— Hi, hi, hi. I ja też mam wygodę. W pionie kanalizacyjnym chodzę sobie po rurach z piętra na piętro. Dobrzy ludzie, poza śmiesznymi pułapkami, nie już na nas nie produkują. Widać jesteśmy ich jedyną rozrywką. Póki co, jest całkiem niezłe: śmietniki pełne, kabli mnóstwo, w piwnicach miło, wody w bród, tylko dlaczego to osiedle nazywa się „Jantar”?

GABOR LÖRINCZY

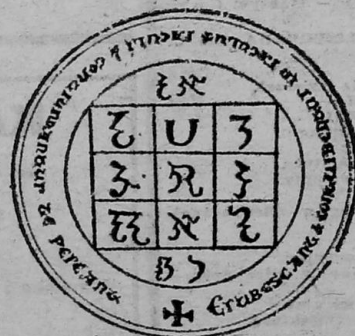
FIGURY MAGICZNE

Nie ma magii bez geometrii. Czarodziejskim praktykom zawsze towarzyszyły znaki i symbole, które ułatwiały kontakt z tajemnymi mocami, duchami i zjawami różnego kalibru oraz przeznaczenia. Największą karierę w świecie magii zrobili: koło, trójkąt oraz pięcio- i sześciokątne gwiazdy, takie jak np. heksagram, zwany „pieczęcią Salomona”, szczególnie popularny wśród magów arabskich i żydowskich.

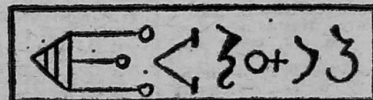
Za Aleksandrem Morą, znawcą tajemnic ludzkiej natury, reproduujemy dziś kilka sławnych figur, wraz z praktycznymi wskazówkami — co z czym i do czego stosować.



„Barzabel” jest talizmanem, bez którego nie ma co stawiać do walki. Koło z półksiężycem, wykonane z miedzi, srebra lub złota, skutecznie chroni przed ciarami przeciwnika i zapewnia błyskotliwe zwycięstwo w sytuacjach nawet beznadziejnych. Moc talizmanu jest największa, jeżeli koło, pokryte magicznymi znakami, zostało wykonane dokładnie 22 października.



Handlowcom, ekonomistom i menadżerom polecamy koło z prostokątem. Posiadanie takiego znaku, wykonanego z miedzi, srebra lub złota (metale szczególnie magiczne), gwarantuje powodzenie wszelkich operacji handlowych — nie zatem dziwnego, że talizman zawsze cieszył się ogromnym wzięciem.



Miedziana blaszka z takimi znakami oraz z napisem na odwrocie: „Jehowa de Nona”, noszona na szyi, w ciągu miesiąca zapewni spełnienie miłosnych pragnień, nawet tych wygórowanych. W sznurek lub łańcuszek, na którym zawieszony winien być talizman miłości, zaleca się wpisać nitką z ubrania upatrzonego obiektu — sukces murowany.

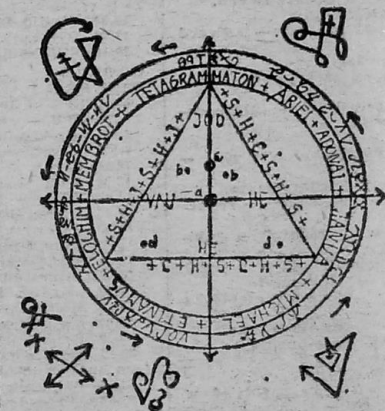


Figura wywołuje duchy. Rysuje się ją kredą na podłodze i wówczas długość boku trójkąta winna wynosić 95 cm, a grubość linii — 1 cm. Niezle działa również figura wyrysowana na pergaminie. Ważna jest tu kolejność rysowania, a więc najpierw trójkąt, później — linie przecinające środek, następnie trzy koła w równej odległości, a na końcu — napisy w kierunku oznaczonym strzałkami.



Pentagram z diabeł wydatnie pomaga w nawiązaniu kontaktów z demonami ciemności i piekiel. Pięcioramienna gwiazda symbolizuje człowieka, ale odwróconą wierzchołkiem w dół — tak jak na rysunku — jest znakiem upadku i ściągą złe duchy. Najbardziej skutecznym jest pentagram wyrysowany czarnym tuszem na kozłej skórze.

POKUSY

Andrzej Koziary

POKUSY

pod redakcją

POKUSY

organ samoistny

POKUSY

20

KONTAKTY
9 XI 80

Cena 4 zł